Nr. 4. Warszawa, dnia 15 (27) Stycznia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rok 1899.

IV.

W Austro-Węgrzech pozmieniały się ministerya. Na Węgrzech w lutym zastąpił Banffy'ego na czele gabinetu Szell. Przedlitawią w jej stosunkach z Węgrami, a nawet w wewnętrznych, Przedlitawii dotyczących: ściągania podatków, wydatkowania dochodów, poboru rekruta, rządził § 14. Walka Niemców z Czechami trwała dalej, ogarniała inne narodowości słowiańskie, zacierała różnice przekonań politycznych w obozie niemieckim, po wszystkich krajach koronnych, z wyjątkiem Galicyi, rozpostartym, — zacieśniała węzły etnograficzno-narodowe z Niemcami poza-austryackimi i ostatecznie pogłębiła jeszcze przepaść, na której dnie prędzej lub później Beustowski ustrój Austro-Węgier będzie musiał się znaleźć, jeżeli nie znajdzie się sam jej byt polityczny, pozbawiony silnych wspór międzynarodowych. Zapędy do zgody trafiały stale na jakiś punkt martwy. Z sejmu czeskiego na początku Niemcy się usunęli; Czesi sami d. 22 kwietnia uchwalili prawo językowe, łagodne i rozsądne (nr. 17): ale Niemcom ani ten rozsądek, ani ta łagodność nie wystarczyły: wyjechali z własnym projektem, wykrawając z Czech i Moraw całe płaty bezwzględnego panowania mowy niemieckiej, a język obowiązujący podzielili na wewnętrzny i zewnętrzny, zawsze tak, aby w porządkach projektowanych jak najwięcej Czechów utopić. W końcu maja i na początku grudnia zbierali się mężowie zaufania w Radzie państwa, aby z wojny wyżąć pokój, ale za każdym razem otrzymywali męty większej jeszcze niezgody.

Ministeryum przedlitawskie zawarło w czerwcu ugodę z węgierskiem o urządzenie stosunków konstytucyjnych do roku 1907, ale ugody tej nie zatwierdziło ciało reprezentacyjne przedlitawskie, rozszarpywane oporem Niemców, w sierpniu i wrześniu przeobrażanym w formalne bunty ludności niemieckiej. W końcu roku trzeba było uciec się pod rozłożyste skrzydła § 14, a takim samym dobrodziejem musiał ten paragraf okazać się i dla wewnętrznego życia Przedlitawii. Gdy źle było z rozporządzeniami pobadeniowskiemi Gautscha, spróbował cesarz, czy nie będzie lepiej bez rozporządzeń, a gdy Thun znieść ich nie chciał, d. 24 września wybuchło przesilenie, zakończone d. 2 października gabinetem, przeważnie urzędniczym, hr. Clary-Aldringen. Gdy znowu źle było i bez rozporządzeń, na Boże Narodzenie zakotłowało się nowe przesilenie z myślą o nowym gabinecie urzędniczym, ale już z ministrem narodowym niemieckim, gdy pierwej byli tylko czeski i galicyjski, a prócz nich jeszcze ministrem, a nie prostym zarządzającym, był tylko minister obrony krajowej, odwieczny Welsersheimb. Zadanie nowej konstrukcyi podjął już rok nowy.

Cała ta niedola wewnętrzna odbiła się ponuro na stosunkach zewnętrznych; monarchia utraciła urok istoty zdrowej, żywej: blask jej przyćmiony, wartość przymierzowa zmniejszona, węzły z Niemcami podejrzanej wytrzymałości, domniemania tajemnych zamysłów dyplomatycznych, wywoływane przez samo położenie. Delegacye, w których ramy z Przedlitawii tylko na osobistą prośbę cesarza, dzięki posłom galicyjskim, wtłoczono jednostki ludzkie, wybrane przez Radę państwa, w d. 2 grudnia rozpoczęły swe czynności. Wyjaśnienia Gołuchowskiego pozostawiły ciemnym punkt najżywszy: co będzie z Austryą?

Na dobitkę, pod koniec roku bytność króla serbskiego w Wiedniu obudziła podejrzenia wzruszające układ z roku 1898 o współdziałanie na półwyspie Bałkańskim, z Rosyą zawarty. W Serbii gospodarstwo Milana, jako naczelnego wodza, a właściwie rządzącego króla, pobudziło radykalnych do zamachu na jego życie d. 6 lipca. Do winy rzeczywistej rząd dorobił sztuczną i wytoczył proces przed sąd krzywoprzysiężny. D. 25 września zapadł wyrok bardzo surowy na wielką liczbę ofiar; sprawcę, Knezewicza, tego samego dnia stracono. Smutne wrażenie sprawiło wyżebranie życia przez Pasicza, niegdyś przewódcę radykalnych. W październiku dostała Serbia nową skupczynę i nowych ministrów.

Już nie sama tylko Galicya, ale ludy monarchii austryackiej odczuły skon Franciszka Smolki, d. 4 grudnia, jako stratę po wielkiej sile wielkiego imienia. Niegdyś przestępca stanu, na śmierć skazany za uczestnictwo w ruchach potajemnych, które wywołał był Goszczyński swem Stowarzyszeniem Ludu, w dziesięć lat później przewódca parlamentu w dobie rewolucyjnego odradzania się Austryi, po dziesięciu jeszcze dalszych doczekał się tego, że sam cesarz austryacki w dyplomie październikowym postawił dla ustroju państwa takie same zasady, z jakich jego własny u-

myśl budował przyszłość ludów w historyczny agglomerat Habsburgii zbitych. Jeżeli kto, to on przeznaczonym był do wprowadzenia dyplomu w życie, w granicach wykonalności, tj. w Przedlitawii, a jeżeli nigdy na stanowisko pierwszego ministra powołania nie otrzymał, winna temu była może tylko fałszywie pojmowana godność majestatu. Nie mając wysokiego stanowiska w rządzie — miał przecież najwyższe w przedstawicielstwie wszystkich ludów przedlitawskich: przez lat kilkanaście był prezesem Izby deputowanych w wiedeńskiej Radzie państwa; urokiem swej osobistości, wiarą w swój charakter, prawem położonych zasług wybieralność dla siebie zamienił niejako w dziedziczność. Stronnictwa warczały tylko, wyszczerzały zęby i kładły mu się pokornie u nóg. Był to duch dziwnie wytrwały, niespożyty— przy rozumie gorący. Czem żył w młodości, z tem umierał jako starzec dziewięćdziesięcioletni. A przytem posiadał sztukę pięknego życia: był i silnym i czystym, a w polityce czystości dochować — na to potrzeba jakiegoś umyślnego, etycznego geniuszu: on go właśnie miał i geniuszem tym przyświecał. Był jak dyamentowa tarcza, której nic nie zrysuje, nic skazi: i dlatego choć nie żył dla sławy, sława go już nie opuści: o takich, jak Smolka, nie zapomina się nigdy.

W Hiszpanii po wielkiej klęsce z r. 1898 w lutym upadł jej współsprawca, Sagasta; zajął jego miejsce Silvela. W kortezach, zagajonych d. 2 czerwca, stronnictwa wyrzucały sobie winę — nie odegnały nieszczęścia: Hiszpania jest już małem, międzynarodowego tchnienia prawie pozbawionem państwem. Bieda w skarbie, rozruchy społecznego charakteru w Barcelonie, podrywanie się karlizmu do nowych wzlotów, brak ożywiającego rozumu, energii i miłości dobra pospólnego, brak planu na nowe życie — zasępiały widnokrąg wielkiego niegdyś, dla historyków niezmiernie nauczającego narodu.

Włochy po gabinecie Pelloux I dostały w maju gabinet Pelloux II. Oba one zbłaźniły się apetytem, ujawnionym na zatokę San-mun w Chinach: Europa zaryglowała wejście.

Jednocześnie w końcu czerwca we Włoszech i w Belgii wrzało w sejmach, kipiało na ulicach. Takiego posiedzenia, jakiego widok na Monte Citorio dały Włochy d. 30 czerwca, nie było nawet w austryackiej Izbie deputowanych, która przecież wyrobiła sobie specyalną w burdach sejmowych sławę. Powodu dostarczył spór między rządem i jego stronnikami a gorętszym odłamem Izby deputowanych o nowe prawa kagańcowe, krępujące wolność obywateli, a uznane za potrzebne jeszcze wskutek rozruchów medyolańskich z r. 1898.

W Belgii poszło o prawo wyborcze do Izby. Klerykalni, trzymający rządy w garści, poddając się niby pod żądania przeciwników, wprowadzili wybory proporcyonalne, ale tam tylko, gdzie sami na nich skorzystać mogli. Wszczął się rozruch w umysłach, z umysłów wyszedł na ulicę. Cały kraj rozgorzał; sama stolica w d. 26—30 czerwca była jakby w powstaniu. Rząd uległ, zgodził się na kompromis, ale przeprowadził go nierzetelnie. Sprawa to ciągle jeszcze paląca.

Turcya trzymała się swą bezwładnością. Rządy były coraz gorsze. Sułtan polował przez rok cały na Młodoturków, na Armeńczyków, na spiskowców, których nawet wskazać nie umiał; po całej Europie odbywało się szpiegowanie, nawet pościgi dyplomatyczne. W listopadzie urządził sobie padyszach wyższą przyjemność: od 19 do 23 t. m. chwytał jakiś spisek pałacowy, ustanawiał sądy doraźne, zatwierdzał wyroki, kazał wsadzać na okręt i wywozić do Arabii. W cztery dni załatwił się ze wszystkiem. Przyznano się tylko do deportacyi; Bosfor milczy, choć może miałby niejedno do powiedzenia o ofiarach sprawiedliwości tureckiej.

Stany Zjednoczone w końcu roku jeszcze obiecywały Kubie wolność, a w imię wolności walczyły z Filipińczykami, nietylko na Luzonie, ale na Mindanao i innych wyspach archipelagu.

Tydzień polityczny. Ruch zaczepny Bullera od zachodu na lewym brzegu Tugeli, rozpoczęty opanowaniem w d. 11 b. m. Springfieldu, jeszcze na prawym, tak się przedstawia: D. 15 b. m. część wojsk angielskich stała już za rzeką; dnia następnego przeprawiła się w bród brygada Littletona. Boerowie nie stawili oporu. Po zajęciu pozycyj, zagrażających prawemu, zachodniemu, skrzydłu Boerów, ciężkie działa angielskie rozpoczęły ogień. Gdy następnie i Warren z całą dywizyą przekroczył Tugelę, jeszcze dalej na zachód, niż oddziały poprzednie, cała już armia Bullera, z wyjątkiem sił ochronnych około Chiveleyu, oraz części artyleryi, znalazła się za rzeką bliżej Ladysmithu, niosąc mu odsiecz. Już d. 16 b. m. Warren znajdował się jakoby tylko o 4 mile od oblężonego miasta. Buller wydał proklamacyę: „Idziemy, bez możliwego odwrotu.“ D. 18 b. m. Anglicy posunęli się naprzód, a d. 20 mieli już większą rozprawę, po której Buller wysłał buletyn zredagowany językiem wyroczni. Zdaje się, że niewiele do d. 20-go włącznie zyskał. Powierzchnia górzysta, obwarowana, daje złą widownię walki. Według Anglików, Joubert od Colenso do Ladysmithu ma 35,000 ludzi.

W Ladysmith panować ma dysenterya.

Pod Mafeking podstąpił Plumer z odsieczą. Nad Modderem walka na ogień działowy.

Pod Colesbergiem ciągłe, ale drobne utarczki.

Straty angielskie od początku wojny do końca roku wynoszą: oficerów 103 poległych, 286 ciężko ranionych, 102 wziętych do niewoli — razem 499; żołnierzy 1,123 poległych, 3,660 ranionych, 1,409 jeńców — razem 7,192.

Cape-Times ocenia dotychczasowe siły Boerów na 87,000 ludzi.

D. 20 b. m. *Wiener Ztng* ogłosiła następującą listę nowych ministrów: Koerber — prezydyum i spr. wewn., Welsersheimb — obrona, Wittek — koleje, Böhm-Bawerk—skarb, Spens-Baden — sprawiedliwość, Hartel — oświata, Piętak i Rezek — bez teki (Galicya, Czechy), Rosenberg-Culmbach — handel, Giovanelli — rolnictwo. Piętak był obecnie pierwszym vice-prezesem Izby dep.; jest on profesorem uniw. lwowskiego. Nowy rząd podejmuje nową ugodę czesko-niemiecką. — Delegacya przedlitawska

---

1)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA *).

KONIEC ŚWIATA.

WIDOK I.

Zamek Orabu usiadł na wierzchu wysokiej góry, jak monarcha na tronie, ukoronowany błyszczącą wieżą i przyodziany płaszczem białawych chmur, które od ramion spływały mu aż do stóp w szerokich fałdach. Do jego podnóża przytuliła się gromada kamiennych domów, opasana grubą obręczą murów. Przyległe wąwozy zatłoczyły się szczelnie obozującem wojskiem, stadami bydła i koni, wozami pełnymi łupów. Letni, parny wieczór rzucił na niebo pierwszą garść gwiazd, a na ziemię pierwszą falę mroków, kiedy książę Arjos Onto z hrabią Izydem Lagorem wyszli przed swe namioty dla orzeźwienia się świeżem powietrzem, które obfitemi kaskadami spadało z gór na doliny.

Ks. Onto.

Mój Lagorze, nalej czystej wody w czyste naczynie szklane: cóż w niej zobaczysz? Nic. A podobno w tej wodzie pływają miliony niewidzialnych żyjątek. Zagotuj ją — również nic nie usłyszysz, a jednak w niej skonały. Człowiek ma więcej w sobie tajemnic, niż kubek wody; czyż tedy możemy wiedzieć, co się w nas dzieje? Więc i ja zaledwie tylko czuję, że moją duszę także nawiedził pomór.

Hr. Lagor.

Poprostu jesteś książę zmęczony trudami długiej wojny. Gdy odpoczniesz, gdy twój wielki geniusz wodza i zasługi zwycięzcy zostaną nagrodzone, gdy przed królem postawisz szereg pokonanych wasalów, a przed Arcykapłanem złożysz ich zdruzgotane bogi; gdy cię opromienią zaszczyty i ogrzeje sława — wtedy będziesz inaczej patrzył w siebie i około siebie.

Ks. Onto.

Przedtem jednak ty, mój przyjacielu, daj mi wiarę, że to, co zrobiłem, było dla świata dobrem i potrzebnem.

Hr. Lagor.

Przebacz mi, książę, ale nie pojmuję, jak można mieć jedną połowę duszy z twardego metalu, który nie kruszy się, a drugą z miękkiej gąbki, która ciągle nasiąka smutkiem. Wątpisz, czy dobrem i potrzebnem dla świata było zdobycie przez ciebie i przyłączenie do naszego państwa wielu ziem i narodów, nad którymi jaśnieć będzie słońce naszej religii i rozpościerać się będą błogosławieństwa naszej kultury? Dziwna niepewność! Bóg, natchnąwszy twoich rodziców myślą ochrzczenia cię imieniem naszego świętego Zwiastuna, wskazał ci drogę i dał przeznaczenie zamknięcia na mieczu pochodni Arjosa. Czyż tego powołania nie spełniłeś? Czyż leżące tam na wozach pogańskie i odszczepieńcze bogi, które już nigdy nie wrócą do swych świątyń i na zawsze ustąpiły swe ołtarze naszym patronom, nie świadczą dość wymownie o wielkości i zacności twych czynów?

Ks. Onto.

Kochany Lagorze, twoje słowa pachną, ale ulatniają się z moich uszu, nie przeciekłszy do serca. Wolałbym, ażeby miały woń odrażającą, a przesączyły się do tej jego rany, która mnie boli i którąby zagoiły.

Hr. Lagor.

Powtarzam: wyleczy cię wdzięczność i sława. Wiesz, książę, że jestem rycerzem prawym; wierzę, iż na to mam dwa kolana, ażebym jedno zginał przed głową państwa, drugie — przed głową kościoła, a o-

---

*) Obszerność tej części nie pozwala nam jej drukować w *Prawdzie* całkowicie. Zamieszczone wszakże urywki powiązane będą odpowiedniem objaśnieniem. Jakkolwiek zaś każda z części „Duchów“ stanowi utwór samoistny, połączony z innemi tylko wspólnością idei, czytelnicy nasi, którzy chcieliby poznać poprzednie, znajdą je bądź w roczniku *Prawdy* z r. 1895, bądź w świeżo wydanej książce. *Red.*

zamknięta d. 17 b. m. Nazajutrz zebrał się po świętach sejm węgierski.

Projekt powiększenia floty niemieckiej znajduje się już w Radzie związkowej. Nawet wolnomyślni go popierają. D. 19 b. m. Bülow w sejmie cesarstwa w tonie stanowczym odpowiedział na interpelacyę o zabór okrętów niemieckich. Niemcy zażądały wynagrodzenia i wyrzeczenia się zaborów na proste podejrzenie. Prawo morskie potrzeba uzupełnić. Anglia uwolniła trzeci statek niemiecki, „Bundesrath."

Król Leopold belgijski wysłał do Berlina dyplomatę Beernaertsa dla nakłonienia cesarza Wilhelma do roli pośrednika między Anglią a Transwalem.

We Francyi radykaliści burzą się przeciw gabinetowi. Odbywają się wybory do senatu; Izba odroczona. W Algeryi ma być zaprowadzony pobór normalny do wojska.

Anglicy schwytali ostatniego z emirów Sudanu, dzielnego Osmana-Digmę; powieźli go do Suakimu.

Morning Post donosi, że Stany Zjednoczone domagają się wolnego handlu w Chinach; w jednobrzmiącej nocie Rosya, Niemcy, Francya i Anglia miały jakoby zażądać wzajemności na Filipinach. — Amerykanie stoczyli nową bitwę z krajowcami na Luzonie.

W Szwecyi sejm, zagajony 18 b. m., otrzymał wezwanie do powiększenia armii i floty.

W Indyach głód zeszłoroczny zyskał już urzędową statystykę. Na terytoryach angielskich klęska dotknęła 22 miliony, na autonomicznych 27 — i nie ustała z końcem roku. Anglia, zajęta Transwalem, wcale z pomocą społeczną ani państwową nie spieszy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WAŻNE POSTANOWIENIA.

Smutny fakt pozostawienia pracownika kolejowego bez nóg i środków do życia, w dziedzinie pracy nie jest wypadkiem pojedynczym. Zupełna utrata zdrowia i sił na stanowisku, lub kalectwo, pozbawiające zdolności zarobkowania — to są zjawiska codzienne, nienotowane nawet w kronikach bieżącego życia naszego, o ile sprawy takie nie oprą się o kratki sądowe, dostępne także dla reporterów. W większości pokrzywdzeni nie poszukują tej drogi, popierwsze dlatego, że nie zawsze, pomimo swej słuszności, widzą możność wygrania, gdyż przeciwnik ma większy zasób dowodów przekonywających, powtóre, że droga ta jest uciążliwa, zawiła i przytem wydeptana rutynicznie. Wolą tedy po cichu wchodzić w układy prywatne, które prowadzą do tego, że np. zarobkodawca oblicza wartość obciętych nóg pracownika na 112 rb. 50 k. Zresztą sprawy takie wobec sądu na niewłaściwem założeniu są opierane. Przy ustanawianiu np. odszkodowania zwykle się bierze za normę ten zarobek, jaki pracownik miał w chwili kalectwa i niezdolności do pracy. Jeżeli więc urzędnik, posiadający wszelkie kwalifikacye do otrzymania posady wyższej, przypuśćmy na 2,000 rb., padł ofiarą swego zajęcia w chwili, gdy pobierał 500 rb., suma odszkodowania musi być normowana według tej skali bieżącej. Tym sposobem za połamane nogi lub ręce, za utracone oczy, za zgniecioną klatkę piersiową, za ubezwładniający reumatyzm lub paraliż otrzyma on albo pensyę roczną 500 rb., albo czwartą jej część. Ponieważ pensya właściwa zwykle jest oznaczana w rozmiarach minimalnych, a natomiast istnieją różne dodatki, jak dyety, dopłaty na mieszkanie, na opał itd., więc przy normowaniu skali odszkodowania wchodzi w grę tylko pensya, bez wszelkich dodatków. Tym sposobem pracownik, mający dochodu 1,000 rb., może otrzymać odszkodowanie za kalectwo tylko w stosunku np. do 450 rb. swej pensyi. O ile jest to dogodne dla instytucyi zarobkodawczej, o tyle fatalne dla pracowników. Zarobkodawca, bądź pod naciskiem sądu, bądź z własnej woli, wypłaca odszkodowanie i jest w zupełnym porządku, gdy tymczasem pracownik, otrzymawszy niewielką kwotę, narażony jest na śmierć głodową.

Niedawno atoli cywilny departament kasacyjny senatu rządzącego w dwu wyrokach swoich dał bardzo ważne wyjaśnienia w tej mierze, które mogą zasadniczo, do gruntu zmienić dotychczasowy system normowania odszkodowań. Powien pracownik kolejowy, z wyższem wykształceniem specyalnem, padł ofiarą wypadku i stracił zdolność do pracy w chwili tymczasowego pełnienia służby maszynisty. Ponieważ stosowne uzdolnienie pozwalało mu rachować na wyższą posadę w krótkim czasie (naczelnika „dépôt"), więc na tej podstawie zażądał odszkodowania w stosunku do pensyi, jaką mógł otrzymać w przyszłości. Izba sądowa uznała takie motywy za słuszne, a senat, zupełnie podzielając wyrok izby, poparł go odpowiedniem wyjaśnieniem, które może być prejudykatem na przyszłość.

Również ważne, a nawet donioślejsze znaczenie ma postanowienie senatu (w trzecim departamencie cywilnym kasacyjnym). Rozszerza ono znacznie pojęcie „kalectwa," które dotychczas oznaczało tylko otrzymanie na służbie ran, uszkodzeń, utratę pewnych członków ciała itd. Mianowicie do kalectwa zaliczono także utratę zdrowia skutkiem pracy nad siły. Poszkodowany skarżył się właśnie na taką pracę bez odpoczynku, bez wszelkiego uwzględnienia elementarnych warunków zdrowia. Otóż senat przyszedł do przekonania, że takiego stanu rzeczy nie można nazwać *naturalnym* warunkiem służby, że więc instytucya zarobkodawcza (kolej żelazna) powinna dać odpowiednie wynagrodzenie poszkodowanemu.

Wszelkie przedsiębiorstwa posługują się takiem rozumowaniem: „Przyjmujesz posadę, musisz więc z góry być przygotowanym na pracę ciężką. Jeżeli twój organizm nie wytrzyma, jeżeli siły się poszarpią i wyczerpią, jeżeli zniedołężniejesz zupełnie w krótkim przeciągu czasu, to nie nasza wina, lecz twoich sił słabych, a więc uniezdolnienia do pracy,

---

ba — przed Bogiem. Mimo to sądzę, żeś ty uczynił większym zarówno naszego monarchę, jak naszego Arcykapłana, a nawet nie zgrzeszę bluźnierstwem, gdy dodam: i naszego Boga. Bo tamci mają więcej przez ciebie poddanych, a on więcej wyznawców. Czyż nie dosyć ci jeszcze chwały i zadowolenia z takiej potęgi i takich jej skutków?

Ks. Onto.

O, chwały mam dosyć, nawet za dużo, tylko zadowolenia — mało.

Hr. Lagor.

Więc czegóż jeszcze żądasz?

Ks. Onto.

Ażeby ktokolwiek zdjął ze mnie ten krwawy płaszcz, którego sam zrzucić nie mogę.

Hr. Lagor.

Jaki płaszcz?

Ks. Onto.

. Nie domyślasz się? Bo go widzisz białym, a ja czerwonym. Ufarbowałem go we krwi rozlanej na polach bitew i już nigdy, nigdy nie wypiorę. A tak bym pragnął ujrzeć go znowu białym! Gdyby przynajmniej wysechł! Ale on ciągle mokry i paruje, strasznie paruje, odurzając mnie nieraz aż do bezprzytomności odorem krwi.

Hr. Lagor.

Poradź się, książę, lekarza, jesteś niezdrów, masz trochę gorączki, stąd przywidzenia.

Ks. Onto.

Myśli moje zardzewiały, jak noże od krajania mięsa, ale medyk je proszkami wyczyści — prawda? Ha, ha, ha! Cieszyłbym się tą nadzieją, gdybym mógł wiedzieć, kiedy jestem zdrów, a kiedy chory. Obejmując dowództwo nad stutysięczną armią, która miała być mojemi skrzydłami i szponami, a ja olbrzymim sępem wojny, zabijającym i rozdzierającym słabe narody, wierzyłem, że spełniam dzieło wielkie i szlachetne, z którego tryśnie tyle zdrojów szczęścia, że ludzie długo nie zdołają go wyczerpać. A teraz zdaje mi się, że wówczas byłem chory i miałem gorączkę, że jak rzeźnik albo bandyta przeciąłem tysiącom niewinnych ludzi żyły, z których trysnął ku niebu wielki słup krwi. Człowiek, mój przyjacielu, siedzi pod drzewem życia, zrywa z niego nikłe jagody złudzeń i nawłóczy na nić w przekonaniu, że niże perły trwałych prawd. Dopiero gdy mu owe jagody zmarszczą się i uschną, spostrzega swoją omyłkę — i rozpoczyna ją nanowo.

Hr. Lagor.

Ktoby, słuchając tych słów, odgadł, że książę byłeś walecznym żołnierzem i wielkim wodzem!

Ks. Onto.

Upewniam cię, hrabio, że gdy ktoś za lat sto odkryje twą trumnę, ze szkieletu nie odgadnie, że byłeś pięknym Lagorem. Ciało człowieka jest często trumną jego duszy, której szczątki nie okażą, czem była za życia.

Hr. Lagor.

Na Boga, co się stało! Przecie jeszcze wczoraj rozgromiłeś, książę, liczną armię i tak pokryłeś pole bitwy trupami...

Ks. Onto.

Nie przypominaj mi... zbyt wyraźnie pamiętam... Widzę tę marę...

Hr. Lagor.

Jaką?

Ks. Onto.

Kiedy nad pobojowiskiem wzbił się opar rozlanej krwi, ujrzałem w tym obłoku białą postać Zwiastuna, który zebrał dusze z ziemi i uniósł je do nieba. Twarz miał tak smutną, jak gdyby zszedł z męczeńskiego słupa, a we mnie utkwił wzrok tak wstrząsający swą boleścią... To jego spojrzenie wypaliło mi na czole znamię, którego ty może nie widzisz, ale ja je czuję. Ach, Lagorze kochany, gdybyś ty mi starł to piętno, gdybyś dowiódł, że mnie trapią zmory gorączki!

Zbliżył się oficer.

Oficer.

Mości książę, dotąd wojsko nie otrzymało rozkazów. Czy mamy przygotować się do szturmu w nocy?

Ks. Onto.

Czy spodziewacie się oporu?

wynikającego z warunków „naturalnych,“ uwzględniać nie możemy.“ Pracownik poddaje się temu rygorowi, ale te warunki naturalne nie mogą mu jakoś trafić do przekonania, więc usiluje szukać sprawiedliwości. Dotychczas atoli tego rodzaju skarg nie uwzględniano wcale, a nawet obrońcy, pomimo, że posiadają nieprzebrany zapas argumentów prawnych, logicznych i sofistycznych, nie wierzyli w pewność wygranej.

Rozwój przemysłu wielkiego na podstawach kapitalistycznych wymaga ciągłej i forsownej pracy. Któżby tam naprzykład myślał o znużeniu i utracie zdrowia pracownika przy piecu wielkim, który przerywa swą czynność tylko dwa razy do roku: na Boże Narodzenie i Wielkanoc? Ktoby myślał o płucach ludzkich w warsztatach tkackich, ślusarniach, kopalniach? Ktoby wyślał o oczach w biurach, kantorach i na parowozach, działających nieprzerwanie w nocy i we dnie? Organizm ludzki lub jego części muszą tam się zetrzeć, jak się ściera pilnik i piła, jak się stępia siekiera, spłaszcza młot itd. W żaden jednak sposób tego rodzaju zużywania sił ludzkich nie można przypisać warunkom naturalnym, zwłaszcza tam, gdzie je można usunąć przez pewne ulepszenia i systemy. Dlaczego np. przy dzisiejszem udoskonaleniu techniki wynalazczość rozwinięta jest tylko w jednym kierunku? Dlaczego mamy świetne wagony Pullmanna, parowozy specyalne do pociągów kuryerskich i błyskawicznych, a nie mamy na parowozach budek ochronnych, któreby, oszklone, zabezpieczały maszynistę od zgubnych wpływów atmosferycznych ze wszystkich stron? Dlaczego na kolejach żelaznych i w innych przedsiębiorstwach dotąd jeszcze istnieją 24-godzinne dyżury urzędników w dusznych, ciasnych lokalach? Prosta logika mówi, że te wszystkie przyczyny, których usunięcie zależy od udoskonaleń technicznych i dobrej woli, nie są naturalnemi. To też całkiem słuszne są zapatrywania senatu, który obecnie usiłuje sprowadzić do minimum owe przyczyny naturalne w pojęciu prawnem.

Drugie postanowienie senatu, zgodnie z tą dążnością, jak rzekliśmy, rozszerzyło pojęcie „kalectwa“ i zaliczyło do niego nadmiar pracy, rujnującej zdrowie i tym sposobem dało poszkodowanym możność skutecznego poszukiwania strat. Jakkolwiek nie może ono być jeszcze w ścisłem znaczeniu prejudykatem, gdyż pochodzi nie z departamentu, lecz oddziału i nie jest umieszczone w zbiorze postanowień departamentów kasacyjnych, to jednakże daje prawnikom możność do powoływania się na nie, wytyka drogę jasną i prostą, więc w niedalekiej przyszłości może się stać prejudykatem.

Jest jeszcze jedna ważna okoliczność: Takie ustalone zapatrywanie najwyższej instancyi sądowej może się z czasem przyczynić do spiesznego uregulowania warunków pracy w ten sposób, że chcąc uniknąć strat z wynagrodzenia za kalectwo i zniedołężnienie, instytucye zarobkodawcze będą się starały za pomocą udoskonaleń technicznych i zwiększania personelu usuwać przyczyny; gdzie zaś niepodobna ich usunąć, tam przewidując przedwczesne starganie sił, postarają się wynagradzać pracowników zniedołężniałych bez nacisku sądowego.

FEJLETON.

Z CZASU.

O pewnym gatunku nad-ludzi

Działo się to na raucie. Gospodyni uprosiła młodego studenta, ażeby przeczytał swój utwór, zaszczycony na ostatnim konkursie nowelek z „point'ą,“ czyli z głębokiem zakończeniem. Student stanął przy fortepianie i zaczął czytać:

„Był bardzo bogatym, ale niesłychanie znudzonym. Gdy pewnego razu wlókł się po jednej z ulic Warszawy, usłyszał zdala sygnał na trwogę. Zbliżała się straż. Pędzą, ażeby wyratować pieniądz. Naiwni! Pieniądz daje nudę... To także rycerze kapitału... Straż zbliża się. Na przedzie jedzie wóz z ludźmi w chełmach błyszczących, a woźnica trzyma tak silnie rozhukane konie, że gdyby im się pod przedniemi nogami zapadła ziemia — zawisłyby na lejcach. Po bokach dwa czerwone płomienie kagańców wyglądają jak dwie próbki pożaru... Toż to specyaliści, potrafią nietylko uratować, ale gdyby chcieli, to i zapalić... Wśród tych sklepów z bielizną, wędliną i ubraniem suną wolnego kłusa z masywnym hałasem, świadczącym o niesłychanie silnej budowie kół i osi. Na końcu widać także dwa kagańce. To jakiś orszak, który jutro wystąpi i ścigać się będzie na arenie, a dzisiaj urządza próbę, nie dbając o to, że go zobaczą wędliniarze i krawcy... Oni są bezinteresowni.

Tak myślał człowiek i wyjąwszy z kieszeni rubla srebrnego ujął go w dwa palce i stanął tuż obok przejeżdżającego wozu, zachęcając strażaków gestami. Któryś pochwycił pieniądz i ukłonił się ręką na podziękowanie; pierwsza beczka przejechała, a na drugiej strażak, widząc błyszczącą monetę, przesunął się nagle na brzeg kozła, zebrał grube, czarne, węzłowate lejce w jedną garść, wyprężył je bardziej i minął przechylony z ręką wyciągniętą — wziął rubla... Człowiek dał mu „brawo,“ a następne beczki zwolniły biegu, lecz minęły go, zanim wzniósł do góry nowy pieniądz, tylko strażacy obejrzeli się za nim po parę razy. Na stopniu ostatniego wozu stoi młody strażak. Trzyma się jedną ręką, a drugą już przygotował nieruchomie... W tej chwili człowiekowi przyszła myśl cofnąć nieco rękę: strażak zrobił wysiłek, rozległ się krótki jego krzyk i runął na ziemię, a tylne koła przeszły mu po nogach... Ten nie pojedzie ratować, najszczerszy z nich wszystkich...“

Taką nowelkę przeczytał student, a ostatnie zdanie stanowiło głębokie zakończenie, czyli „pointę.“ W pokoju panowała cisza.

Pierwsi odezwali się chórem zaproszeni na raut winiarze, którzy zadecydowali na

---

Oficer.

Gród wygląda, jak martwy, nikogo na murach nie widać, ale bramy zamknięte.

Ks. Onto.

Wzięli nas za pielgrzymów, a nie za zbójów, więc spokojnie zasnęli. To i wy połóżcie się spać wszyscy, wszyscy, nawet straże.

Oficer.

Miałbym chęć podsunąć się z niewielkim oddziałem i zażądać otworzenia bram...

Ks. Onto.

Jeśli przypuszczacie, że was usłuchają i dadzą nocleg wygodniejszy — idźcie.

Oficer oddalił się.

Hr. Lagor.

Chyba ten rębacz nigdy tak nie wytrzeszczał oczu, jak po tej odpowiedzi. Czy nie lepiej byłoby załatwić się z tym grodem szybko i pospieszyć do stolicy, gdzie nas król czeka niecierpliwie?

Ks. Onto.

Czy warto o tem myśleć i psuć noc znużonej armii miażdżeniem jednego żółwia, który wsunął się w swoją skorupę i drży lub drzemie? Przecież cały ten gród moglibyśmy z sobą zabrać. Każ jutro rano zabębnić wszystkim naszym doboszom, a zwalą się jego mury i stanie przed tobą przerażony pan Orabu z odkrytą głową.

Hr. Lagor.

Pan Orabu przed nikim się nie ukorzył.

Ks. Onto.

Prawda, słyszałem, wszakże nazywa się Mirol?

Hr. Lagor.

Już nie żyje. Był to dziki koń, szanujący tylko prawa swego tabunu. Chociaż posiadał zaledwie gromadę zbrojnego motłochu z chłopów i mieszczan, nie chciał się uznać wasalem, a nawet stworzył sobie jakąś własną religię. Gdy go wzywano do posłuszeństwa królowi, odpowiedział, że pana nie potrzebuje, tylko sług, Arcykapłanowi zaś, że Bóg jako dobry ojciec znosi się ze swemi dziećmi bezpośrednio, a nie przez faktora. To też zaraza go sprzątnęła.

Ks. Onto.

Podła... niel.. poczciwa...

Hr. Lagor.

Było to dla wszystkich niepojętem, a dla mnie oburzającem, ażeby taki mysi królik, władca kilku gór, drwił sobie z mocarzów. Na szczęście swoje umarł, zanim się wyczerpała ich cierpliwość. Ale chociaż kara jest spóźnioną i nie dosięgnie właściwego winowajcy, nie możemy ominąć tego gniazda grzechu i buntu, bez zdobycia go.

Ks. Onto.

Masz słuszność, podrażniłeś we mnie złego psa, którego uwiązałem na łańcuchu. Spuszczę go. Słońca nie przebudzimy ani naszym okrzykiem, ani jękiem ofiar. Będzie ono chrapało sobie dalej, a gdy jutro rano wstanie, zobaczy ze zdziwieniem, cośmy przez noc zrobili i co przez dzień oświecać musi. Mój płaszcz nie zaczerwieni się bardziej od tej nowej krwi, moje sumienie strawi jeszcze kilkaset świeżych trupów... A może zobaczę coś w tej pogańskiej jaskini, co mnie uspokoi, zadowoli, rozśmieszy... Nie masz pojęcia, Lagorze, jak pragnę się uśmiać... Smutek jest nietylko dokuczliwy, ale nudny, piekielnie nudny! Lepsza zbrodnia, bo przynajmniej na chwilę rozrywa. Ludzie, którzy złe robią, nie powinni nigdy odpoczywać, ale ciągle broić. Każ zatrąbić do ataku.

Hr. Lagor.

To co innego, to rozumiem. Teraz znowu jesteś prawdziwym Arjosem Onto.

Odszedł spiesznie. Ks. Onto wpadł do namiotu i wkrótce ukazał się w zbroi z zapuszczoną przyłbicą i dobytym mieczem.

Ks. Onto.

Cóż ty, nielitościwa koso śmierci, nie cieszysz się nadzieją nowej roboty? Brzęknijże radośnie, przestań milczeć i powiedz, że czujesz rozkosz, zatapiając się w ciepłe ciała, które szybko pod twojem dotknięciem stygną. Domyślam się: odbijasz w swym zwierciadlanym płazie moją twarz i przez nią mówisz, że nie ty, ale ja rąbię

przyszłość, że cała literatura powinna się składać właśnie z takich króciutkich a miłych utworów, poczem wyszli do drugiego pokoju, a jeden, mijając studenta, zapytał go:

— Pan dobrodziej na którym kursie?

— Na pierwszym.

— Proszę, proszę; bardzo mi przyjemnie.

Gospodyni podziękowała autorowi, a zarazem rozległo się małe brawo, poczem student ukłonił się i usiadł z przebaczeniem na twarzy. W każdym razie czekał on na coś jeszcze...

— Szanowny panie — zauważyła lękliwie jedna ze starszych pań — bardzo ładnie pan przedstawił tę straż, ale człowiek, który w takiej chwili pokazuje biednym ludziom pieniądze, jest, zdaje mi się, bez serca...

— Cóż ja temu winien! — proszę pani.

— Jakto? Wszakże pan sam pisał ten utwór?

— Ależ tak — uśmiechnął się młodzieniec litościwie i zwichrzył czuprynę, a potem zaczął sobie trzeć lewe oko, przyczem skrzywił się i patrzył drugiem okiem na sufit.

— To ogromny despota, ten pański bohater — ciągnęła dama.

Student powstał, założył ręce na piersiach i wypowiedział zwolna:

— Proszę państwa, mój bohater nie jest człowiekiem, lecz symbolem naszego życia. Ono zawsze pokazuje nam rubla w takich chwilach. Najszczerszym z nas jest ten, który umie rzucić się, złapać, co można, no i jeżeli zajdzie potrzeba, nogi sobie połamać. Nie pojedzie dalej, ale nikogo nie oszuka... My wszyscy, proszę państwa, pędzimy niby to coś ratować, czegoś strzedz, mamy pełne usta sygnałów trwogi, robimy swąd kagańcami fałszywego światła, ale iluż to z nas strzela uważnie oczyma po bokach, czy nie widać tam kogo z rublem! Przypuszczamy możność pochwycenia rubla nawet w takich właśnie wypadkach, jak w mojej nowelce. Wieleż pieniędzy złapano już w ten sposób, a łatwowierna historya w rozmaitych punktach czasu stawia tryumfalne łuki nam, fałszywym strażakom.

Student odsapnął i obrzucił wzrokiem słuchaczów. Wiekowa pani robiła ustami jakieś nieznaczne poruszenia, jak gdyby odmawiała zapomniany pacierz w przeświadczeniu, że go może za chwilę nie dokończy. Patrzyła na młodzieńca, jak gołąb na węża boa; nagle z jakąś trwogą spojrzała po obecnych, lecz najdłużej wzrok zatrzymała na siedzącej zdaleka młodej blondyneczce, która mieniła się pod wzrokiem studenta.

— Niuniu, Niuniu, chodź moje dziecko, usiądź tu przy mnie...

Student patrzył na posłuszną dziewczynę, jak oswojony jastrząb na biegnącą do ziarna kurkę...

A panienka usiadła przy staruszce, która poprawiła jej suknię i uczesanie i pocałowała siostrzenicę w czoło... Uspokoiła się znacznie i nanowo zaczęła mierzyć wzrokiem studenta, którego obstąpiło gronko młodzieży różnej płci. Wkrótce rozmowa podzieliła się.

Byłem w tym domu po raz pierwszy, a nawet Warszawę wówczas dopiero poznawałem, po przyjeździe z głębokiej prowincyi. Zacząłem przypatrywać się studentowi. Uderzyło mnie w nim to, że pozował. Dziś rozumiem, że właśnie ja mogłem się na takiej pozie poznać lepiej i prędzej, niż Warszawiak. Był starannie ubrany, ale żadna część tego ubrania nie była zastosowaną do jego postawy, przeciwnie, każda wywoływała ruchy i pozycyę przybraną. Wysoki, tabetyczny kołnierzyk nie licował z rumieńcami zdrowych policzków, ogromny zielony krawat wyglądał jak gdyby był na nim powieszony chwilowo — do wytrzepania, itd. Otóż gdy się ta rumiana, młoda twarz obracała zwolna, gdy para zdrowych oczu starała się bez wyrazu ślizgać po obecnych, nie robił na mnie wrażenia zmęczonego, lecz figlarza, który się obecnym przedrzeźnia.

W każdym razie podobały mi się niektóre zwroty w jego nowelce.

Gdyśmy poszli na papierosa, przedstawiłem mu się i zaczęliśmy rozmowę.

— Pan dawno studyuje? — zapytałem.

— Pierwszy rok i jestem z Warszawy niekontent.

— Tak? Jakąż pan sobie obrał specyalność?

— Prawo. — Chcę być adwokatem, więc już teraz, na pierwszym kursie, pracuję u adwokata, gdyż cztery lata przeminie szybko i człowiek nie będzie umiał z dyplomem w ręku wyegzekwować wekslu...

— Więc szanowny pan ma zamiar sprawy wekslowe...

— Ależ nie, tylko dla przykładu powiedziałem. Wszystko, wszystko, panie; naturalnie, cywilistyka, gdyż to pewniejszy kawałek chleba.

— A literatura?

— Li-te-ra-tu-ra?

Spojrzał, jak gdyby mnie ujrzał nagle stojącego do góry nogami.

— Literatura — to zabawka, ot tak sobie! Można ostatecznie pisać, jeżeli będą czytać, ale przedewszystkiem kodeksik. Proszę pana, powiem krótko: dziś młody człowiek powinien być w możności otworzenia kancelaryi na drugi dzień po dyplomie, jeżeli chce, ażeby po pięciu latach ludzie do niego przychodzili. A oni przyjdą, gdy się coś umie?

— Przyjdą? — wyrwało mi się w braku czego innego.

— A jakże—odparł młodzieniec—przyjdą i zapłacą. Panie, czy sądzisz pan, że mnie w tym szanownym domu nazywają literatem? Nie, panie, ja tu jestem „kochanym mecenaskiem,“ który umiejąc wszystko, potrafi napisać i nowelkę. Cóż, podobała się panu ta baba, co to krytykowała?

— Jakaś przyzwoita kobieta — zauważyłem.

— A, owszem, oni są wszyscy przyzwoici, ale zobacz ich pan przy interesie. Znam ja tę przyzwoitość. Baba w aksamitach, mająca dwa miliony, targuje się o pięć rubli i jeszcze twierdzi, że przepłaca. Całe szczęście, że to wszystko nie ma pojęcia o prawie, bo by sami w sądach stawali, jak Boga kocham.

— Możeby to było nieźle — nadmieniłem.

Spojrzał na mnie, jak gdyby się pomiarkował, ale machnął ręką i roześmiał się:

— Tak, byłoby nieźle dla bufetowej, która sprzedaje w sądzie przekąski.

Odszedł ode mnie i po drodze puszczał ostatnie kłęby dymu z papierosa, który rzucił do popielniczki i wyszedł do salonu.

Zostałem sam.

Z jakąż to biedną, młodą duszą dopiero co rozmawiałem! Kto mu tu powie, że się myli, kto mu zohydzi tę jego nieszczęśliwą logikę? Ma nie więcej nad 20 lat i już tyle wie. Jeszcze nie żył prawdziwie, a już ma pełne usta kłopotów życiowych. Jego nie palą zagadnienia w rodzaju tego, czy nędza jest do usunięcia ze świata, ile potrzeba węgla w zimie dla biednej rodziny. On myśli o tem, ile osób przyjdzie w jednym

---

lus ludzki. Tak, tak, mój głupie czcigodny toporze.

Rozsypały się na wszystkie strony odgłosy trąbek, pod którymi wzdęła się głuchym szumem i pękła okrzykiem wrzawa wojska, wezwanego do boju.

I czemu oni tak zapamiętale wyją? Czy którykolwiek z nich zdobyciem tego grodu poprawi swoją niedolę bodaj o jeden szczęśliwy dzień? Nie, oni są rzeczywiście tak bezinteresowni i bezmyślni, jak cząstki powietrza, któremi orkan wyrywa drzewa i przewraca domy. Im to sprawia rozkosz, gdy razem zadrgają w jakiejś jednej woli, która ich skupia, spaja i przetapia masę wątłych siłek na wielką siłę. A tą wolą, tą siłą jestem ja, który rzucę ich jak huragan na tę siedzibę ludzką i zniszczę ją. O, tak, niema uczucia wspanialszego nad uczucie mocy! Głupia, wstrętna, skomląca melancholia włóczy się za mną, jak stara, bezzębna suka, która nie może gryźć i chce, ażebym ją karmił papką tkliwości. Wleź sobie we mnie, skowycz i szczekaj, ja ciebie dziś nie usłucham: pożre cię inne, potężne zwierzę, które zwietrzyło krew i ryczy w mojej duszy.

Nadbiegł Lagor.

Hr. Lagor.

Z której strony ma wojsko uderzyć?

Ks. Onto.

Niechże mi podadzą konia. Na własnych nogach nie będę obnosił śmierci. Za ciężka.

Hr. Lagor.

Zaraz go przyprowadzą. Oto ktoś na nim jedzie.

Ks. Onto.

I któż to śmie go znieważać?

Hr. Lagor.

Omyliłem się.

Cwałem nadjechał oficer.

Oficer.

Nad główną bramą wywieszono białą chorągiew. Co mamy robić?

Ks. Onto.

Na chorągiew plunąć, a bramę wyważyć.

Oficer.

Słucham.

Ks. Onto.

Zaczekaj-no. A kto plunie?

Oficer.

Mogę — ja.

Ks. Onto.

Czy dla ciebie ta szmata nie jest święta?

Oficer.

Dotąd szanowałem ją zawsze, gdy nieprzyjaciel zatknął na murze.

Ks. Onto.

Więc czemu dziś chcesz ją zbezcześcić?

Oficer.

Wódz kazał — Bóg przebaczy.

Ks. Onto.

Jesteś wspaniałomyślnym — odstępujesz mi swój grzech. No, nie znieważaj sztandaru pokory. Ale jeżeli dostrzeżecie kogoś na wałach, zażądajcie, ażeby gród się poddał.

Hr. Lagor.

Już otworzono bramę... Patrzcie...

Oficer.

Jakaś z niej łuna bije. Zobaczę, co to znaczy.

Odjechał.

Hr. Lagor.

To znaczy, że stary Mirol, któryby bronił swej nory, jak ryś, już nie żyje.

Ks. Onto.

Wyszedł orszak z pochodniami... Zdaje mi się, że na przedzie idzie kobieta.

Hr. Lagor.

Ha, ha, ha! Wysłali jakąś babę, ażeby z nami parlamentowała. Dowcipni urwisy! Przypuszczają, że trudniej będzie ją przegadać, niż pokonać całą załogę. Jeżeli młoda, zaproponuję z pewnością, że podda się sama w zamian za miasto. Ciekawa kapitulacya!

(C. d. n.).

daiu do jego kancelaryi, którą, jeżeli wolno będzie, otworzy zaraz po ukończeniu studyów uniwersyteckich. A taka zdolna natura.

Spotykałem go później często na mieście, w cywilnem ubraniu, w czapce studenckiej, z elegancką teką pod pachą. Zawsze się gdzieś spieszył.

W dzisiejszym okresie modernizmu prześladować mnie zaczął jak wizya, której się rzucił na serce jakiś zarazek. Jego czapka studencka i teka robią na mnie do dziś wrażenie ręki o sześciu palcach, albo gąsienicy ze skrzydłami motyla. Co tu obciąć, czy ten szósty palec; co tu wyrwać, czy te skrzydła?

Dodam jeszcze, że poznając coraz lepiej stosunki miejscowe, przekonałem się, że takie typy mnożą się dość szybko wśród młodzieży naszej. Dziś jeszcze stanowią one nieznaczny odłam, ale jest obawa, że samo społeczeństwo swą naganną niecierpliwością dopomoże niejednemu pączkowi strzelić przedwcześnie do zawodnego i palącego słońca pracy dochodowej, że nierozważnie przyspieszy sztuczną a potem chorobliwą dojrzałość młodych pracowników, których, przeciwnie, należy bardzo oględnie wprzęgać do życia, a wypuszczać na miasto nie z teką i w pstrokatej szarfie terminatora bezwzględnej karyery, lecz z pogodą w palącem się oku i z dobrem, kojącem słowem dla całego świata.

Tadeusz Ulanowski.

PAMIĘTNIK.

Awantury polemiczne.

Z jednej strony wstręt do krytyki, z drugiej napastniczość; z jednej gorszące pobłażanie dla oczywistych przewinień, z drugiej — lekkomyślne urąganie oraczom przy pługu — oto zwykłe widoki naszego życia, w którem większem bezpieczeństwem cieszy się zuchwały występek, niż skromna praca. Gdy stanie przed nami jakaś potworna ohyda — milczymy, natomiast gdy dostrzeżemy jakąś płodną pracę, hajże strącać kamieniami owoce z jej drzewa! W krakowskim instytucie bakteryologicznym umarł nagle asystent, dr. N. Kostanecki. W pierwszej chwili podejrzywano, że zaraził się dżumą, z którą robił doświadczenia, wszakże zarówno sekcya, jak badanie wnętrzności, kultury i szczepienia próbne przekonały dowodnie, że padł ofiarą innej choroby: ropnego zapalenia płuc. Ale wszystkie te najściślejsze sprawdziany były zbyteczne i daremne dla zgrai dziennikarskiej, czyhającej na byle pozór i powód do znieważenia niemiłych jej osobistości, zwłaszcza zaś tych, które pożytecznie pracują. Gdyby umyślnie wysłany anioł przybył z nieba i upewnił tych zuchów, że Kostanecki nie umarł na dżumę, nic by to nie pomogło i Bujwid musiałby być przez nich napadnięty. Na to nie było i nie będzie żadnej rady, to była i będzie koniecznośó prawidłowości paszkwilu i rozboju dziennikarskiego. Kiedy niedawno w Wiedniu również asystent zaraził się dżumą i zmarł wraz z kilkoma osobami, naczelny kierownik instytutu bakteryologicznego nie usłyszał za to wymysłów, obelg i krzywdzących posądzeń; rozumiano bowiem, że on w tej sprawie nie miał żadnego udziału, że stało się niezależnie od niczyjej woli nieszczęście, że nawet najczujniejszy dozór przy takich zajęciach nie zapobiegnie wypadkom, pochodzącym z nieostrożności lub pomyłek. Tak zapatrywano się na rzecz w Wiedniu. W Krakowie inaczej. Tam zaraz musiał wleźć na trybunę paszkwil i wyprawić orgię potwarzy kosztem dr. Bujwida.

U nas w Warszawie zaszumiał trochę kociołek dziennikarski — jak zwykle — o osoby, nie o rzeczy, albo o rzeczy tak drobne, że warto je tylko puścić wentylatorem ze swędem i zaduchami w powietrze. Ten powiada, że przytaczał jakieś pismo 18 razy, tamten — że 19, ten twierdzi, że ktoś o czemś wspomniał wczoraj, tamten — że przedwczoraj itp. Kurz, któryby należałoby zetrzeć lub zdmuchnąć, a tymczasem kładzie go się pod mikroskop.

Wreszcie swarliwe duchy rzuciły się do kłótni o sprawę, która je dotąd jednoczyła. Jak wzmiankowaliśmy, postanowiono uczcić Sienkiewicza składkowym darem 100,000 rb. Ktoś zaproponował kupienie za tę sumę kamienicy, ktoś drugi zaleca inny sprawunek, ktoś znowu pragnąłby, ażeby hołd jubileuszowy odbył się w postaci idealnej — bez pieniędzy. I dalejże brać się za czuby, przyczem jedni drugim wyrzucają zawiść i rozmaite niskie pobudki. Nie wtrącamy się do tej wrzawy—o ile ona jest naradą, tylko pozwolimy sobie zauważyć, że mogłaby zawierać mniej nieprzyzwoitego harmidru. Jeżeli zapaśnicy posiadają nadmiar werwy, którą chcieliby zużytkować w jakiejś walce, to przecież mają tyle przedmiotów, za które godniej mogą przelać atrament piór swoich. A jeżeli istotnie chcą uczcić znakomitego pisarza, to niechże przedewszystkiem nie wyprawiają mu pod oknami serenady ze swoich waśni.

Przesilenie węglowe.

Sprawa węglowa — jak donosi *Warsz. Dniew.* — została rozstrzygnięta w następujący sposób:

„Wskutek rozporządzenia Głównego Naczelnika Kraju, dla wyjaśnienia przyczyn niezmiernego podwyższenia cen węgli kamiennego w Warszawie, naczelnik warszawskiego wydziału śledczego, asesor kolegialny Zacharow, przeprowadził umyślne śledztwo, tak w miejscowościach produkcyi węgli w kopalniach zagłębia dąbrowskiego, jak też w Warszawie na miejscu sprzedaży przez hurtowników.

Przy pomocy rzeczonego śledztwa stwierdzono, że właściciele kopalń, dostarczając warszawskim hurtownikom węgiel według kontraktów, zawartych jeszcze przed nastaniem w Warszawie t. z. „przesilenia węglowego," w ciągu ostatnich miesięcy nie podwyższali cen na węgiel kamienny, a z drugiej strony, wypełniając ściśle przyjęte na siebie zobowiązania, wysyłali z Sosnowca i Dąbrowy Górniczej zakontraktowaną ilość wagonów w pełnej liczbie.

Jednocześnie wyjaśniono, że wagon węgla wagi 110 korcy (660 pudów) po dostawieniu go do Warszawy na stacyę towarową drogi żelaznej Warsz. Wied. kosztuje kupca hurtowego, wliczając już niedoważenie i kradzieże po drodze, od 80 do 96 rb., zaś koszt przewozu węgli ze stacyi towarowej do składów w mieście lub do mieszkania spożywców wynosi od 4 do 10 rb. na wagonie.

Z zestawienia wyszczególnionych danych wynika, że wzrastające z dnia na dzień podwyższanie ceny węgli w Warszawie nie było uwarunkowane żadnemi szczególnemi okolicznościami, niezależnemi od woli warszawskich kupców hurtowych, lecz nastąpiło jedynie z ich własnej winy, w celach spekulacyjnych, w chęci zbogacenia się.

Grono kupców hurtowych i handlarzy w liczbie 17 osób, jak to wyjaśniono na śledztwie, porozumiało się wzajemnie i za pomocą różnych manipulacyj zawładnąwszy nieograniczenie warszawskim rynkiem węglowym, ustanawiało cenę za wagon węgla według swojej woli, podnosząc tę cenę niekiedy do 225 rubli za wagon, jak to wydarzyło się naprzykład w dniach 16, 17 i 18 grudnia.

Wobec tych danych i wobec istnienia w czynnościach kupców hurtowych i handlarzy oznak przestępstwa, przewidzianego w art. 1180 ustawy o karach, z polecenia General-Gubernatora, który porozumiał się w tej sprawie z ministrem spraw wewnętrznych, w dniu 16 stycznia, osoby, o których mowa wyżej, wezwane zostały do pomocnika General-Gubernatora, rad. taj. Podgorodnikowa, gdzie im zapowiedziano, że najwyższa cena przeciętna na węgiel kamienny w sprzedaży w Warszawie nie powinna przewyższać 115 rubli za zwyczajny wagon 110 korcowy, że aż do wprowadzenia tego rozporządzenia w wykonanie ustanawia się nad nimi surowy nadzór policyjny — i że w razie dalszych z ich strony operacyj spekulacyjnych w sprzedaży węgla kamiennego w Warszawie zastosowane będą przeciwko nim bardzo ostre środki administracyjne."

Skarga „Wisły."

Redakcya *Wisły* skarży się w odezwie na zawód nadziei, że ogół poprze jej usiłowania, a wobec braku podstawy materyalnej grozi ona zamknięciem wydawnictwa, jeżeli ostatnia próba w roku bieżącym okaże się również daremną. Niewątpliwie organ geograficzno-etnograficzny, prowadzący drobiazgowe badania nad pierwocinami i przeżytkami naszej kultury, jest nam bardzo potrzebny; niewątpliwie *Wisła* redagowana jest umiejętnie: niewątpliwie jej upadek będzie dotkliwą stratą; ale czy pomimo to kierunek skargi zwróconej do ogółu jest słuszny? Czy można wymagać, ażeby ten ogół z zajęciem i zamiłowaniem czytał specyalne artykuły, które interesują zaledwie szczupłe kółko badaczów? Czy podobna, ażeby ten ogół, który jeszcze nie przywykł do nabywania książek zrozumiałych i niezbędnych, rzucił się do prenumeraty pisma, którego treść nawet dla najwykształceńszych jest „ziemią nieznaną?" Przez pewien czas abonowali *Wisłę* adwokaci, lekarze, inżenierowie itp., którzy nigdy nie rozcinali jej kartek. Mogła ta ofiarność trwać rok, dwa, pięć, ale nie mogła stworzyć stałego oparcia dla wydawnictwa. Ponieważ zaś taki sztucznie wytworzony dla niego grunt prędzej czy później musiał się pokruszyć; ponieważ ogół, a raczej mała jego warstwa bądź nie jest przygotowana umysłowo, bądź obarczona wydatkami na inne potrzeby; ponieważ jednostek zajmujących się ludoznawstwem mamy zaledwie garsteczkę, przeto obowiązek zapewnienia bytu *Wiśle* spada albo na jakąś instytucyę, albo na ludzi bogatych, którzy oceniają jej pożyteczność i dla których płacenie 900 rb. rocznie (o taką sumę chodzi) nie stanowi dotkliwego ciężaru. W tę stronę należy skierować odezwę.

Panu Rabskiemu.

Autor 365... artykułów w *Wieku* i tyluż w *Kuryerze Warszawskim*, p. W. Rabski — jak wiadomo — codzień gdzieś przeciw czemuś protestuje. Wali on tym sposobem rękami i nogami w zamknięte wrota sławy, które nietylko przed nim się nie otwierają, ale nawet nikt z po za nich nie pyta: „Kto tam?" Dla takich tytanów Niemcy uczą szpaki gwizdać w klatce: „Heute ist stark, morgen im Sarg."

W ciągu licznych metamorfoz, jakie p. R. szybko przebył między liberalnym *Przeglądem Poznańskim* a klerykalnym *Wiekiem* i *Kuryerem Warszawskim*, uczuł on obecnie potrzebę „protestowania" przeciw *Prawdzie*, a ostatnią sposobność ku temu dały mu moje uwagi o Żeromskim. Jest on poprostu *ivre-mort* o to, że śmiałem przypuścić, iż drugi Sienkiewicz może się kiedyś narodzić, a Żeromski — nie.

Nie pierwszy to raz ci, co chcą być głośni, uderzają w dzwon wielkości lub mniemanej zniewagi papieża naszej literatury. Nie wolno ist go sądzić krytycznie, nie wolno z nim nikogo porównywać, wolno tylko do niego się modlić i składać mu święto-

piętrze ze wzmianek i dowodów bezwzględnego uwielbienia, zbieranych po całym globie ziemskim. Wiadomość, że tragarz portu genueńskiego czytał „Quo vadis,“ jest ważniejszym wypadkiem, niż ukazanie się „Ludzi bezdomnych.“ Literatura świata, według tych panów, którzy nie uważają się za „klikę,“ stanowi talię kart, w której Sienkiewicz jest atutowym asem, bijącym wszystkie inne karty. A ja ośmieliłem się uznać jakąś młódkę za świętną, która w pewnej grze bije tego asa.

Sumienie publicystyczne pana R. mogło jednak pozostać spokojnem. Nie miałem wcale zamiaru zmniejszać wielkości talentu autora „Krzyżaków,“ zastrzegłem się nawet wyraźnie, że o niej w danym razie nie mówię. Poważyłem się tylko wyrazić zdanie, iż Żeromski jest twórcą tak oryginalnym, swoistym, do innych niepodobnym, że może już nigdy nie powtórzy się. Pójdę dalej w tem przypuszczeniu i powiem, że nawet może nie urodzi nam się nigdy drugi p. Rabski, którego pióro przypomina karabin magazynowy, strzelający bez przerw „protestami,“ i który kilka pism zamienił na ganki swego młyna, mielącego jednocześnie mąkę grubą, pytlowaną, kaszę itd. Czyż ta moja hipoteza ubliża również Sienkiewiczowi?

Pan Rabski jest wszechstronnym publicystą, pod różnemi barwami i hasłami występował w szranki turniejowe, nie od dzisiaj poucza świat cały, gdzie rozsądek się kończy a zaczyna absurd, nie od dzisiaj walczy z wiatrakami; czyżby jednak przypuszczał istotnie, że nawet wśród stałych czytelników *Kuryera* znajdzie wielu takich naiwnych, którzy nie poznają się na farbowanych lisach jego sposobów i sztuczek polemicznych? Wszak wyrwawszy pojedyncze zdania nawet z „Boskiej komedyi“ lub „Hamleta,“ możnaby śmiało dowodzić metodą pana R., że Dante płodził absurdy, że Schakespeare mu wtórował i że obaj byli co najmniej — uczniami twórcy „Listów z Krakowskiego Przedmieścia“ i fejletonów „Na dobie.“

Że zaś „twórca“ ten, żyjący od dłuższego czasu w atmosferze dziennikarskiej blagi i reklamy, rozumie i uznaje jedynie właściwe temu środowisku pobudki pochwał, oddawanych dziełu niezwykle utalentowanego pisarza, nie mającego jeszcze ostemplowanego paszportu na znakomitość warszawską — to znowu nie dziwi mnie wcale. Okażę się jednak w tym wypadku bardziej rycerskim od p. R. i nie będę próbował ujawniać ukrytych sprężyn jego wystąpienia, zwłaszcza, że dla czytelników *Prawdy* są one chyba przejrzyste.

Lecz jeszcze jedno. W artykule pana R. błąka się słówko „klika.“ Z tem słówkiem pewni dziennikarze w pewnych pismach powinni obchodzić się bardzo ostrożnie, pamiętając o przysłowiu, że „w domu wisielca nie wspomina się o sznurku.“ *Prawda* odsłaniała i rozbijała kliki, a *Kuryer Warszawski* był ich gospodą. „Klika“ jest nazwą pułku, do którego należy p. R. i którego sztandar nie służy u nas nawet za ścierkę.

Wł. Bukowiński.

BADANIA NAUKOWE.

John Ruskin.

(1819—1900).

I.

We wspaniałej plejadzie proroków angielskich naszego stulecia świecą różne blaski. Jest tam „szkarłat“ — Carlyle'a — płomieniste z paszczy wulkanu ziejące oskarżenie wieku, jest liliowy kwiat Morrisa, delikatny, prerafaelityczny kontur widzeń skąpany w optymistycznem słońcu nadziei, jest wreszcie wstęga tęczowa Ruskina. Można te trzy nazwiska w pewnym wzajemnym umieścić stosunku. Carlyle — to burzyciel: jego myśl jest bezładna, jak i jego styl; temperament, treść oskarżenia, myśl i styl — wszystko, co stanowi pisarza, jest niezorganizowane, żywiołowe. Morris, z natury swego charakteru moralnego i umysłowego jest zgoła różnym, ale w swoich snach reformatorskich przeniósł tylko treść epopei prokuratorskiej Carlylea na kanwę poetyckich, głębokich, odczutych widziadeł. „Czyń, co ci się podoba“ — oto co mówi do bliźnich i do społeczeństw przyszłości. Dla niego — wyrażając się filozoficznie — świat zburzony przez Carlyle'a jest już „danym,“ wychodzi z tych „gruzów“ — jako z założenia; oczywiście materyalnej anarchii odpowiadać będzie zupełna anorganizacya w świecie wizyj poetyckich. Ruskin jednak poszedł dalej. Świat będzie lepszy nietylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie; praca będzie zorganizowaną; panowanie maszyny nad człowiekiem skończy się; w dolinie błogostanu ludzkiego rozwiną się nowe, piękne, pełne kwiaty przyjaźni. Ruskin jest między innemi poetą — przyjaźni.

Urodził się w Londynie 1819 r. w kupieckiej, szczerze nabożnej, protestanckiej rodzinie. Ojciec handlował winem i dorobił się na tem ogromnego majątku. Chłopiec rósł w zupełnem odosobnieniu od świata; bez towarzysza, nawet bez zabawki, obcując tylko z matką i Biblią. Matka wychowywała go według starego, purytańskiego kanonu. „Bito mnie bez wszelkich skrupułów, jeżeli płakałem, nie spełniałem rozkazów, albo upadałem ze schodów“ — opowiada Ruskin. Wykształcenie składało się z czytania i uczenia się na pamięć urywków z Pisma świętego — „od księgi Rodzaju aż do Apokalipsy,“ przytem powoli zapoznawano małego Johna z powieściami Waltera Scotta i Homerem. Te trzy tytuły zapuściły głębokie korzenie w umysłowość Ruskina, oskrzydliły specyficznie jego geniusz: ich wpływ można odnaleźć i odcyfrować w całej jego późniejszej działalności literackiej.

Zapomnieliśmy o rzeczy najważniejszej. Nie miał John ani przyjaciół, ani zabawek, ale miał jedną zacną towarzyszkę: naturę. Jego ojciec był sam własnym swoim komiwojażerem, objeżdżał Anglię wzdłuż i wszerz, zbierając u feodałów obstalunki na „Cheres,“ którego był najznakomitszym wówczas producentem. W tych podróżach brał czynny udział syn. W taki sposób poznawał on swój kraj: przed młodem, ciekawem spojrzeniem przesuwały się krajobrazy, starożytne zamki, kościoły, góry i rzeki. Pod wpływem wrażeń w umyśle chłopięcym tworzyć się zaczynają — myśli: „Dlaczego zamki teraz takie puste?“ — pytał sam siebie. Już wtedy w głębiach jego świadomości, w źródłach fantazyi, rodziła się cześć dla bohaterów.

Bliskie i szczere obcowanie z przyrodą i Biblią miało swoje złe strony — jak powie każdy pedagog; zamykało bowiem młodocianą duszę w jakimś cudownym, ale hermetycznie od świata ludzkich interesów zabitym parku. Wychowanie takie, nie pokazując dziecku ani człowieka, ani bólu, ani nędzy, nie mogło krzewić „współczucia“ i rozpalać „miłosierdzia.“ Manchester raził młodego Ruskina swoim brudem, ale nie swoją nędzą. Kiedy później w „Praeterita“ sumował bilans doświadczeń w pierwszem dwudziestoleciu swego życia, opowiadał: „Nigdy nie widziałem śmierci, nie brałem żadnego udziału w smutku i niepokoju, nieodłącznie towarzyszących choremu; nigdy również nie widziałem, a mniej jeszcze mogłem sobie wyobrazić cierpień nędzarzy.“ Widocznie, że gdy życie nie dało pobudek, u kolebki stała wróżka, która zamiast doświadczeń, dała natchnienie.

Rodzice przeznaczali syna, jedynaka, dziedzica milionowej fortuny, do stanu duchownego. W prostym umyśle purytanki wymarzone szczęście dziecka kojarzyło się tylko z wyobrażeniem najwspanialszej karyery duchownej, aby „w 40 roku życia zostać biskupem Winchesteru, a w dziesięć lat później prymasem Anglii.“ Ruskin wychowywał się z tym celem w Oxfordzie: otoczono go przepychem, u kapelusza miał nosić złotą kitę, obcować tylko z kilku kolegami, należącymi do najstarożytniejszej arystokracyi angielskiej. Były to zwykłe sny dorobkiewiczów. Ale niby bańki mydlane na słońcu prysły...

Ruskin zaraz na wstępie ukochał sztukę. Czuł głęboką nienawiść do utylitarystów w filozofii i życiu, do Bentama, Austina itd. Jego umysł i uczucie kazały mu stronić od wszelkiej polityki. Tak się też stało, że pierwsza epoka jego życia poświęcona była wyłącznie pięknu. „Przed tym bogiem nie miał wtedy innych.“ Jeszcze przebywając w Oxfordzie, pisał swoje znakomite traktaty estetyczne o „Malarzach współczesnych,“ „Poezyi architektury“ itd. W tym samym atoli czasie pod wpływem Carlyle'a i teologów-reformatorów odbywać się w nim zaczął przewrót moralny, który, gdy dojrzał, otworzył w jego życiu nową zupełnie, odmienną epokę. Już w „Modern Painters“ pisał: „Obraz, zawierający więcej szlachetnych i liczniejszych idei, bez względu na nieudolność ich wyrazu — stoi wyżej od obrazu, który zawiera mniej i mniej szlachetne idee, jakkolwiekbądź doskonale był malowany.“ „Doskonałość smaku tkwi w zdolności czerpania możliwie głębokiej rozkoszy z tych źródeł materyalnych, które czystością swoją działają dodatnio na naszą naturę *moralną*.“ „Wszelka sztuka, nieznajdująca się w jakimkolwiek stosunku do człowieka, jest sztuką niską i nieużyteczną; wszelka sztuka, która daje złe wyobrażenie o człowieku, albo poddaje niskie o nim pojęcie, jest sama fałszywa i niska.“ Widzimy jasno, jak ze świadomości autora wynurzać się zaczyna probierz moralny.

Lata, spędzone na lądzie stałym (1845 i n.), były czasem walki wewnętrznej. Odgłos tej walki znajduje sobie wyraz w szkicu o „Prerafaelityzmie“ (1851), gdzie czytamy: „Można twierdzić z pewnością, że Bóg nie przeznaczył nikomu w tym świecie żyć bez pracy; niemniej jednak oczywistem jest i to, że przeznaczeniem każdego jest — być szczęśliwym przy pracy.“ W tem zdaniu czujemy już jak gdyby dalekie, wielokrotnie odbite echo późniejszego aforyzmu: „Życie bez pracy jest łupiestwem, praca bez sztuki — jest barbarzyństwem.“

W tym czasie zaraz po roku 48-ym pisał pod wpływem Carlyle'a: „Najbliższa przyszłość jest zarówno uroczystą, jak tajemniczą; siła złego, z którą walczyć będziemy, rośnie, niby wzbierające wody. Teraz nie pora na metafizyczne wywczasy albo na rozkoszowanie się estetyką. Świętokradztwo tego świata staje się coraz straszniejsze, jego nieszczęścia — coraz cięższe.“

Najbliższe w czasie arcydzieło „Kamienie Wenecyi“ na każdym kroku świadczy o tem, że estetyk przeobraża się w moralistę i reformatora. Mają one („Kamienie Wenecyi“) dowodzić — pisał Ruskin — że jej architektura gotycka urodziła się pod wpływem czystości wiary i cnót rodzinnych, zaś architektura jej z czasów Odrodzenia miała swe źródło w ukrytej niewierze i rozwiązłości rodzinnej.“ W r. 1850 poznaje osobiście Carlyle'a; tryumfy Anglii kupieckiej, zdobyte na wystawie 1851 r., budzą w nim wstręt, oddaje się poważnym studyom ekonomicznym. „Zajmując się ekonomią polityczną — pisze w r. 1851 —

przyszedłem do przekonania, że nikt nie nie rozumie w tej dziedzinie: samodzielnie pracuję nad naturą pieniędzy, renty i podatków w ich oderwanej formie." W tym samym czasie bierze, udział w przedsięwzięciu kilku filantropów, mających na celu szerzenie oświaty śród klas pracujących. W r. 1854 po raz pierwszy ma wykład o sztuce dekoracyjnej, wobec rzemieślników, uczęszcza na ich lekcye rysunków, pisze książeczki „Początkowe zasady rysunków i perspektywy" (1856—59). W r. 1857 podczas wystawy w Manchesterze wypowiedział szereg odczytów „Ekonomia polityczna sztuki," gdzie po raz pierwszy dotknął błędów współczesnego ustroju handlowego, opartego na współzawodnictwie, oraz wpływu tego ustroju na produkcyę i podział przedmiotów sztuki.

Około r. 1860 poglądy Ruskina dojrzały ostatecznie. Rok ten dzieli to bogate życie na dwie epoki—artystyczną i społeczną.

Od roku 1859 zaczyna się jego walka z wydawcami i publicznością. W tym mianowicie roku rozpoczyna druk wspaniałej pracy „Unto this last" (temu ostatniemu)*). Tkackeray, który z przyjaźni dla autora rozpoczął wydawnictwo tych szkiców w *Cornhill Magazine*—zmuszony był przerwać druk po ukazaniu się czwartego. To samo powtórzyło się z arcydziełem „Munera pulveris" (Sprawy prochu ziemskiego). Oburzenie było powszechne. Ruskin zmuszony był stać się własnym swoim wydawcą. Jednocześnie rośnie jego sława, krystalizują się jego poglądy.

W 1861 r. przeczytał w Instytucie architektów brytańskich adres, w którym mówił: Nasze miasta z ich powietrzem czarnem od dymu, zasłaniającem wszelkie ozdobę a następnie zapełniającym wszelkie ich szczeliny sadzami: nasze miasta, stanowiące bezładną gromadę magazynów, składów, kantorów, a więc pełniące w stosunku do pozostałego świata rolę taką, jak spiżarnie i spichlerze grają w gospodarstwie prywatnem; miasta, w których celem człowieka nie jest żyć, ale pracować, w których majestatyczna forma gmachów służy, jako rezerwuar maszyny: miasta, w których ulice nie są to szerokie aleje, służące do procesyi szczęśliwych obywateli, ale ciasne rynsztoki, po których ścieka zmęczony tłum miasta, w których życie staje się czemś efemerycznem, a każda istota żywa — atomem w tumanie ludzkiego piasku — takie miasto nie znosi żadnej architektury." Niezależnie od pracy literackiej, która znalazła swój wyraz w takich dziełach, jak „Time and Tide," „Fors Clavigera," zaczyna myśl Ruskina szukać urzeczywistnienia praktycznego. „Nie mogę — woła w „Fors Clavigera" — ani rysować, ani czytać, ani oglądać minerałów, nie mogę nic robić, co lubię: światło słoneczne stało się dla mnie wstrętnem pod wpływem myśli o nieszczęściach, o których istnieniu wiem, albo je przeczuwam... Dłużej cierpieć nie mogę: sam albo z kilku współczującymi przyjaciołmi uczynię wszystko, aby walczyć z nieszczęściem." „Powinienem — pisze w styczniu 1871 r. — zdjąć z siebie wszelką odpowiedzialność za nędzę materyalną, która mnie otacza: odkładam stale pewną część moich dochodów — gdyby tak wszyscy czynili, moglibyśmy stworzyć kapitał..." W jakim jednak celu? „Kupić niewielką przestrzeń gruntu, osiedlić tam pracowników-amatorów, którzyby pracowali na roli, zajmowali się pożytecznemi rzemiosłami, prowadzili szczęśliwe życie rodzinne, tworzyli naturalną kooperacyę z sąsiadami i mieli dość czasu, aby rozwijać w sobie zdolności do prawdziwych rozkoszy życia." Oto były ideały praktycznego urzeczywistnienia snów poety.

*) Niezrozumiały ten tytuł zapożyczony jest z opowieści ewangielicznej o gospodarzu, który miał robotników, ci zaś nie w jednym czasie stanęli do pracy, ale on wypłacił wszystkim jednakową należność pierwszemu i *ostatniemu* (który przyszedł najpóźniej).

Poniżej powiemy o nim więcej. Pisarz i człowiek — w jednakowym stopniu genialny, który wypełnił sobą i działalnością swoją znaczną część naszego stulecia, zasługuje na bliższe poznanie, zwłaszcza że działalność to złożona, a ocena jej przerasta siły jednego sprawozdawcy. Nietylko dlatego, że Ruskin ileś kart zapełnił w historyi literackiej produkcyi swoich czasów, że ileś tomów napisał, że wyznawał pewne przekonania etyczne albo estetyczne, zasługuje na naszą uwagę i hołd. Są i inne jeszcze, nierównie ważne względy.

Różni bywali w dziejach uspołecznienia ludzkiego moraliści. „Dobrze" mówić, „szlachetne" wygłaszać kazania, to rzecz względnie nietrudna. Było takich wielu, co nietylko w kazaniach nawoływali do „picia wody, gdy sami pili wino," ale którym pozorna świątobliwość ruchów i formy słów pozwalała w winnicy czynów ludzkich, w walce codziennej, nieraz, a może i stale zawierać sojusze z Lucyperem. Niedaleko szukając, wymienione na wstępie wielkie imię Carlyle'a—i tutaj nadaje się do porównania z Ruskinem drogą... kontrastu. Carlyle był w życiu osobistem, jeżeli tak wolno powiedzieć, nieponiem, a pisał, jak Jeremiasz. Lecz poćóż przykłady?

Otóż jeszcze dlatego czcimy, wielbimy i kochamy Ruskina, że u niego świat słów harmonijnie wiązał się ze światem czynów. Że pomiędzy tymi dwoma światami nie było owego rozziewu, który u wielu jego współczesnych rozrósł się i stale rozrasta w przepaść drobnych i wielkich nikczemności, w buchalteryę moralności podwójnej. Pan wielkiej fortuny (odziedziczył po ojcu 1½ mil. rubli), rozdał ją tym, którzy tak lub inaczej po nią wyciągali rękę. Sam pisze o tem: „Za to, że spędziłem życie, rozdając bogactwo, a nie gromadząc: broniąc zasług bliźnich moich, a nie swoich własnych; za to, że zmniejszyłem dochody swoje, myśląc o wygodach moich dzierżawców: za to, że wolałem chodzić po lasach, niż po ulicach Londynu, zachwycałem się śpiewem ptaków, a nie smakiem ich mięsa; za to, że czciłem kobietę; że starałem się być dobrym nawet dla złych i niewdzięcznych — za to wszystko ludzie kiwają złośliwie głowami, a łajdaki, zawsze gotowi swoją duszę sprzedać za paczkę cygar i butelkę wina — z namaszczeniem rozprawiają o „wydelikaconym sentymentalizmie" Ruskina."

Żałujemy, że nie możemy poprzeć tego „sentymentalizmu" przykładami z jego życia. Zaprowadziłoby to nas za daleko.

Od r. 1884 usunął się Ruskin w zacisze wiejskie. Już nie produkował, przyglądał się tylko żniwu, które posiał. A był to siewca wielki, mądry i miłosierny. Takie ziarno taką ręką rzucone przyjąć się musi. Od tego czasu był on jak gdyby zachodzącem słońcem — wszędzie rozpalały się zorze wieczorne jego wpływów — w Anglii, na kontynencie, w Ameryce znajdował wielbicieli, uczniów, komentatorów. Powstała cała ogromna już dzisiaj literatura o Ruskinie. Te zorze wieczorne nie zgasną z jego śmiercią. Przeciwnie, płoną coraz bardziej jarzącem światłem. Ruskin przejdzie do nieśmiertelności. A może to już świty poranne, o których marzył, dzień, który śnił w swoich snach proroczych?..

S. Posner.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. Warszawa. Skład główny w księgarni Jana Fiszera, tomów dwa, in 4-o, str. 371 i 300.

II.

Pozostaje jeszcze do rozważenia w pamiątkowej książce wdzięczny dział poezyi polskiej. Społeczeństwo nasze zawsze znajdowało się pod tym względem w nader szczęśliwem i uprzywilejowanem położeniu. Zanikało u nas powoli mnóstwo cnót praktycznych i dóbr materyalnych, ale co do pieśni polskiej—pieśń nasza — jak trafnie wyraził się niedawno Czesław Jankowski—nie umarła...

Błogiemu temu pewnikowi godne i wzniosłe świadectwo składa najpierw wiersz Deotymy „na odsłonięcie pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie 24 grudnia 1898 r." Hymn odrazu sięga wyżyn, na których pewien nieodzowny chłód i pewna pustka abstrakcyjna nietylko nie zaciemniają, lecz owszem wzmagają blask piękności idealnej, nadziemskiej: „Więc wyjdź na słońce, o wielki Adamie! Świadom co będzie, co jest i co było, roztocz nad nami prometejskie ramię — Ty, nasza siło!" Dalsze strofy z równą wszędzie trafnością zestawień pojęciowych, uwydatniają szereg wezwań: „Ty, nasze zdrowie!" — „Ty, nasze serce!" — „Ty nasza chwało!..." Szkoda tylko, że ostatni czterowiersz („Ogrom twej gwiazdy nad każdym z nas płonie, dzięki jej światłu, co czas pokonało, wiecznie stać będziesz w ludów Panteonie"), nie tak już barwnie i potężnie zdaje się przemawiać do naszych wyobrażeń, co dwie zwrotki środkowe, klasycznie doskonałe: „Sam nieskażony i nas broń od skazy; niebiańskim wichrem, co gra w twojem słowie, cnć omdlałości, rozpędzaj zarazy... Próżno niezgoda podchodzi nas czujnie, i chce losowej pomagać rozterce — ty na wiek wieków nadałeś nam spójnię — Ty, nasze serce!"

Obok przedstawicielki starszego pokolenia wieszczów stanął z hołdem dla Mickiewicza reprezentant „młodej pieśni polskiej," Michał Baliński, „ożeniony — według zbytecznego objaśnienia redakcyi księgi pamiętnikowej — z wnuczką Odyńca." W swojej „Przegrywce" p. Baliński, w imieniu dogorywającego XIX stulecia śle pozdrowienie jego rankowi.

Najbliższego dowodu na to, że poezya polska nie zamilknie w wieków chórze, szukać należy w dalszym ciągu twórczości pomickiewiczowskiej. „Srebrny sokół" nie zeszedł ze świata bezpotomnie: są spadkobiercy lutni Mickiewiczowskiej. Kilka ogniw tego łańcucha, bezprzerwanie kojarzącego pierwsze brzaski stulecia z ostatnimi jego promieniami, przechowała księga pamiątkowa.

Ściśle jubileuszowa, mickiewiczowska część materyału zgromadzonego w księdze pamiątkowej (jak np. wspomnienia Ant. Kątskiego o Mickiewiczu, krytyczne rozprawki i poszukiwania Méyeta, wiadomości Aleksandra Jelskiego o niektórych pamiątkach po Adamie Mickiewiczu, tegoż autora wiązanka wspomnień z miejsc rodzinnych poety itp.) — stanowiłyby mogły skarbiec prawdziwy i ozdobę wydawnictw — ale takich tylko, które stale i specyalnie przedmiotom tym są poświęcone. Wychodzące np. od lat kilku roczniki Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza otrzymałyby pożądany

i owocny zasiłek we wspominkach, notatkach, sprostowaniach tej osnowy, co Wincentego Korotyńskiego „Ignacy Domeyko w Warszawie,“ Talki-Hryncewicza „Z moich wspomnień,“ Uziębły „Pamiątki po Mickiewiczu w Wilnie,“ Ludwika Żytyńskiego „Wrażenia wywołane przez pierwsze poezye Mickiewicza,“ Zygmunta Glogera „Autograf walca skomponowanego przez Marylę,“ Ludwika Czarkowskiego „Wiersz Mickiewicza w imionniku panny Maryi Siwickiej“ itd. Tu, wśród tych zbiorów systematycznie gromadzonych z laty, przysłowie „ziarnko do ziarnka a będzie miarka“ jest rzeczywistością; ale w książce pamiątkowej, pojedyncze te ziarnka skazane są niemal na zwiędnienie i zagładę — o ile by pozostać miały w odosobnieniu. „Przyznam się panu — pisze Lucyan Siemieński w jednym ze swych listów do Przezdzieckiego (I, 259) — że najłatwiej wdać się w drobiazgowość, aby potem w niej ugrzęznąć...“ Takie ugrzęźnięcie tylko tam nie grozi, gdzie przez porównanie i konfrontacyę wielu szczegółów jednorodnych, wytwarzają się założenia i widoki ogólniejsze, same znów z kolei przyczyniające się do dalszego, metodycznego pomnażania okazów odrębnych. W innych wypadkach — co komu np. powie rzucony w otchłań doraźnej edycyi jubileuszowej, choćby najbogaciej uposażonej, taki list Tadeusza Goreckiego, zięcia Adama Mickiewicza z dnia 15 czerwca 1862 r. z Paryża do Julii z Zolwietrów Bobińskiej — list głoszący: „Spodziewam się przez tę pamięć nie być całkiem obcym dla Pani, kiedy powracając do kraju, będę miał przyjemność osobiście złożyć jej moje uszanowanie i przedstawić moją żonę, która od swej matki wiele słyszała o Pani i bardzo pragnie ją poznać, a dzisiaj przezo mnie zasyła najpiękniejsze ukłony itd....“ Gdzie, co, jak, kiedy, z kim, dlaczego, po co?...

Co do drugiej wielkiej połowy balastu składającego się na książkowe uczczenie setnej rocznicy urodzin Mickiewicza — co do listów np. Fulgentego Rymgajłły do Bolesława Podczaszyńskiego lub Zenona Fischa do niewiadomej osoby — listów zamieszczonych w księdze pamiętnikowej całkowicie a zaznaczających często, w polszczyźnie „okwiecie rozgadanej“ nie wiele więcej nad to, iż pewne osoby pisać lub słynąć zaczynały wtedy, kiedy już Mickiewicz żyć przestał — to szczerze musimy wyznać, iż nie spostrzegamy dobrze konieczności śpieszenia się z publikacyą dokumentów tej wagi... w takich rozmiarach. Na wszystko jest swój czas, a co do miejsca — rażą nas olbrzymie rzeźbione ramy matejkowskiego „Stefana Batorego“ — w którebyśmy oprawili tysiąc i jedną humoreskę Kostrzewskiego... To samo — nawzajem. Prześliczne są, ani słowa, listy Juliusza Słowackiego z Warszawy do siostry Aleksandry; ale czy nie żal było wydawcom klejnoty te zasuwać gdzieś w kątek, pomiędzy świstki, którymi Maciejowscy lub nawet Bartoszewicze wycierają... wycierali domowe swe rupiecia?... A inny jeszcze wypadek... Przypuśćmy, że jednocześnie z ukazaniem się w księdze pamiętnikowej sążnistych i zawiesistych listów Goszczyńskiego... o niczem (w literacko-społecznem znaczeniu), zjawia się w jakimś tygodniku lub miesięczniku studyum o rozwoju poetyckiego talentu autora „Zamku Kaniowskiego“ do r. 1827 — studyum, w którem pomieniono listy złożyły co do jednego wszystkie — bardzo zresztą nieliczne — swe ziarnka pożywne. Jak po tym omłocie wyglądać może w książce na cześć Mickiewicza — pozostała reszta? Co pocznie nieszczęśliwy czytelnik z sieczką i słomą, sypiącą się z wydawnictwa jubileuszowego pod adresem Wacława Pilawskiego, z Hajsynia, w roku 1823 — w tych oto mniej więcej zwierzeniach: „Nie dziw się, że z wyrazami szacunku dla Jego poważnej osoby przesyłam ci papier przez muchy upstrzony; jesteśmy tu bliżej ciepłych krajów i prędzej napastowani przez rodzaj małych paskudników... Inter parenthesim, ten koncept, chociaż przez Teodora (Wołoszyńskiego) wynaleziony, zdał mi się stosownym, więc go użyłem. Pisać do ciebie nie mając o czem, jest to pisać fraszki, ale między przyjaciołmi i fraszki mają powaby. Ta maksyma, owoc mojego rozumowania, natchnęła mię odwagą i śmiałym zapałem dokończenia tego, com zaczął... Przyznam ci się, że czczość nieprzejrzana w mej głowie; niech cię jednak nie zastrasza słabość twego przyjaciela; nie dotyka ona przywiązania, a jeśliby konieczną rzeczą było przekonywać ciebie, dowiódłbym, że ją rozprzestrzenia więcej.“ itd.

Pieniężnie „Księga pamiątkowa“ posiada wartość bez porównania większą nad naznaczoną cenę 5 rubli za egzemplarz. Sam tylko zbiór portretów Mickiewicza, jego żony Celiny, Maryli Wereszczakówny (Puttkamerowej) i innych tworzy rodzaj albumu, który wart jest znacznie więcej. W takich warunkach tekst literacki jest najzupełniej *gratisowy.*

J. T. Hodi.

MALARSTWO.

Obcy i swoi.

II

Rysunek zdobywa w ostatnich czasach coraz większe prawo obywatelstwa w sztuce. Przestał być wstępem do obrazu lub ilustracyą, staje się coraz bardziej uprawnioną, samodzielną gałęzią artyzmu, jak malarstwo olejne, wodne lub rzeźba. Na wielkich wystawach zagranicznych, jak naprzykład na tegorocznej drezdeńskiej lub monachijskiej, dział rysunkowy zajmuje miejsce poważne. Dają się przytem zauważyć dwie drogi, po których on kroczy, prawie rzec można dwie szkoły: francuska i niemiecka, zupełnie odmienne. Najsilniej różnice dwu tych metod odczuć się dają, gdy bezpośrednio po sobie oglądamy jakikolwiek rysunek — dajmy na to Paula Renouarda — z jednej strony i Maksa Klingera, Greinera, Schneidera lub Stucka — z drugiej. Bez wątpienia w obu wypadkach będzie chodziło o wywołanie złudzenia prawdy, lecz sposoby ku temu zmierzające są odmienne. Renouard ustosunkowywa światła i cienie tak, aby najbardziej zbliżyć się do wywołania wrażenia *koloru*, Klingerowi zaś i jemu podobnym chodzi przedewszystkiem o *kształt* i *plastykę*. Różnica ta jest uderzającą. Która metoda ma za sobą wyższość, określić zupełnie nie można; główną rolę gra tu oczywiście stopień talentu i indywidualność artysty — te jedyne miary wartości dzieła sztuki. Najbardziej utalentowany z naszych rysowników, Antoni Kamieński, pod względem metody swej jest niewątpliwie Francuzem. Wyraz, który się daje osiągnąć w rysunku przedewszystkiem dzięki *linii*, oraz dziwna *kolorowość* szkiców węglowych — to jego cechy znamienne, plastykiem nie jest. Nie trudno je dostrzedz na doskonałych portretach Wyspiańskiego i Okunia, na nadzwyczajnie ciekawem studyum kobiety o oryginalnie pięknej głowie, na żywym portreciku siedzącego mężczyzny (rysowanym na żółtym papierze); zewsząd tu bije życie, charakter, kolor. Nie wszystkie ze znajdujących się w Salonie Krywulta prac K. są jednakowo dobre: znacznie słabszym jest portret Boznańskiej, zupełnie prawie chybionym, niedbale traktowanym pod względem światłocieniowym i proporcyi — duży, stojący portret damy. „Są chwile, kiedy śpi nawet Homer..“

Płótna Okunia i rysunki Kamieńskiego są ozdobą Salonu Krywulta. Aby tę całość prawdziwie artystyczną dopełnić, zawieszono w ostatnim pokoju płótna Pilichowskiego, które stanowią same w sobie zamkniętą i bardzo zajmującą wystawę. Z tem nazwiskiem związany jest w pamięci ciekawy obraz, wystawiony u nas przed kilku laty, wyobrażający dzieci przed oświetlonem oknem cukierni. W płótnie tem chodziło artyście o możliwie prawdziwe odtworzenie walki żółtego światła sztucznego z mrokiem nocy, efekt, nad którym pracuje, zdaje się, dotąd, ulubiony motyw niedawno zmarłego De Lavcaux, motyw, nad którym również biedził się ongi Podkowiński w swoich „Kobietach na bilardzie.“ Jeśli na wyżej wspomnianem płótnie Pilichowskiego można było zauważyć jakikolwiek wpływ, to chyba Podkowińskiego; niewątpliwe pokrewieństwo pomiędzy „Dziećmi“ a „Kobietami“ istniało: w jaskrawości efektów, w przeżółceniu tonów, w samej może technice malowania. Po obecnie wystawionych pracach Pilichowskiego tego już nie znać; nie jest on w nich „niczyim krewnym,“ jest sobą — to znaczy artystą prawie skończonym, talentem szczerym i bardzo ciekawym.

Życie robotnika — oto kopalnia pomysłów i tematów, do której sięgnął Pilichowski; dodajmy — kopalnia, z której u nas czerpano dotąd mało i nie zawsze szczęśliwie. „Vierzentag“ Lenca i tryptyk Rapackiego — oto co pamięć na razie przywołać zdoła; oczywiście, jak na taką bogatą skarbnicę — jest to niewiele. Pilichowski dał nam z życia tego, miejmy nadzieję, że tylko tymczasem, dwa momenty: „Poranek“ i „Farbiarza“ obydwa dzieła głębokie, przy których należy zatrzymać się dłużej.

Zimowy świt... Nie — właściwie to dopiero przeczucie świtu, bo nad ziemią wiszą jeszcze dość gęste mroki, potęgowane przez światło zielonawych promieni Auera i żółte od płonącego gazu oczy potwora-fabryki. Ulica zasypana śniegiem; w powietrzu wiszą chłodne opary. Wprost na widza dążą skurczone postacie, właściwie cienie dążących do pracy robotników. Przeraźliwie smutna ciemność i jakiś nie silny, lecz wysysający swe wilgotne wargi w ludzkie ciało chłód wieje od tego doskonale narysowanego i pełnego powietrza, wilgotnego zimnego powietrza, obrazu. Dwie tylko dają się zauważyć w nim usterki: pierwszą jest niedoskonałe odtworzenie śniegu, który niezupełnie jest śniegiem, bo artysta jak gdyby za mało mu czasu i pracy poświęcił, i przezielenienie lewej zwłaszcza części obrazu. Niewątpliwie światło auerowskie ma dużo w sobie promieni zielonych, nie są jednak one tak silne, aby na znacznej odległości mogły dawać tak wybitnie zielone tony. To jednak przezielenienie nie psuje zupełnie ogólnej harmonii kolorytu, bo artysta podniósł zieloną aureolę, okalającą płomienie latarni, o jeden ton wyżej, jeśli można użyć tego muzycznego porównania, które ongi zastosował do Böcklina Witkiewicz. Lecz te drobne wady nie psują doskonale odczutego i oddanego nastroju, który czyni z „Poranku“ rzecz wartości pierwszorzędnej.

W „Farbiarzu“ daje nam artysta robotnika przy pracy. Na chwilę podniósł się i wyjął dłonie z kubłów, pełnych czerwonej farby, aby wyprostować znużony grzbiet. Lecz nie bardzo mu się to udaje; trudno aż do złamania zgiętą starą gałąź doprowadzić do kształtu giętkiej trzciny. Do twarzy przyrósł mu wyraz znużenia, jak czerwone plamy do tych ścian fabrycznych, przy których spędza życie. Postać całą, na którą padają z góry blade promienie, wykonał malarz z jakąś umyślną twardością. Twardo naznaczona jest gło-

wa, ani jednej miękiej fałdy na koszuli lub fartuchu, przez silne obnażone łokcie przechodzą twarde jak sznurki żyły. Takie to wszystko, jak ta dola biedaka, smutne na nimi dokoła niego wszystko, jak to jego życie. Jedno tylko szkoda, że postać ta za mało wyrywa się do widza z powierzchni obrazu, za mało się odrzyna od tylnej ściany; narysowana jest jednak, we wszystkich szczegółach, znakomicie. Jest i w twarzy „Farbiarza" wada jedna, o którą potrącimy niżej. Czy to płótno zdobędzie twórcy swemu laury na wystawie paryskiej, na którą jest przeznaczone, oczywiście nie wiadomo; że jednak zajmie na niej nie ostatnie i nie średnie nawet miejsce — za to ręczyć można.

Inny moment psychiczny poruszył artysta w „Znużonych." Na schodach po całodziennej bieganinie — sądząc z ogólnego tonu płótna, bo niebo nie jest widoczne — po zachodzie słońca siedli dwaj handlarze. Są oni znużeni, tak okropnie znużeni, że to ich zmęczenie graniczy z rozpaczą. I znów podziwiać trzeba wyborne odtworzenie wyrazu oraz doskonały rysunek, trochę tylko nadpsuty o wiele za długim parasolem.

Obok tych płócien postawić należy bardzo prawdziwy, pełny ciszy i melancholii pejzaż. Szara noc księżycowa. Miesiąc (niewidzialny na obrazie), zapewne przyćmiony mgłą, bo odbicie jego w wodzie jest rozlane i niewyraźne. W dali majaczeją kępy drzew...

Po za tem mamy tu jeszcze kilka dobrych szkiców pejzażowych, wiernie pochwycony efekt światła sztucznego (dziewczyna, zdaje się robotnica, w okularach, oświetlona z dołu) oraz kilka studyów i portretów, bardzo żywych i doskonale narysowanych, jak: portret pani B., szkicowo traktowany portret pana K., studyum „rude," dziewczynka o prześlicznych, pełnych łez oczach, po których po przez smutek błąka się uśmiech — i in. Wszystkie te studya mają jedną wspólną wadę, którą już znać w „Farbiarzu" i „Znużonych," wprost pewien brak, wypływający prawdopodobnie z braku przyzwyczajenia do portretów. Oto Pilichowski nie daje sobie jeszcze rady z kolorem ciała ludzkiego. Malowane przezeń twarze różnią się niewątpliwie tonem ogólnym: jest on np. żółtawym na portrecie pani B., siny — na twarzy zapłakanej dziewczynki itd., lecz nie mają całej tej bogatej skali tonów, w którą tak obfituje najpospolitsza twarz ludzka. Wada ta jest jednak do poprawienia.

Szczery talent i głęboka dusza — oto co wyziera z płócien Pilichowskiego.

Michał Mutermilch.

O prawdę.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 2 *Prawdy* z r. b. zamieszczone zostało „Kilka pytań" pod adresem komisyi rozpoznawczej, kwalifikującej dzieła sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej, przeznaczone na wystawę powszechną w Paryżu. Upraszamy o umieszczenie wywołanej przez te pytania odpowiedzi.

Zarzuty, stawiane komisyi, są dwojakiego rodzaju. Jedne tyczą się samowolnego jakoby ukonstytuowania się komisyi i jej takiegoż postępowania; drugie — jej artystycznych poglądów i opartej na nich gospodarki.

Zarzuty pierwsze wywołują tylko zdumienie, że mając tak błędne informacye, można było występować z niemi publicznie. Komisya rozpoznawcza powstała *wyłącznie* z wyborów, dokonanych przez samych artystów (d. 10 czerwca r. z.), a weszli do niej tylko wybrani nie względną, lecz absolutną większością głosów. Komisya ta, zatwierdzona i upoważniona do działania (d. 22 lipca r. z.) przez zarząd główny oddziału sztuki na wystawie paryskiej (Akad. Szt. Piękn. w Petersburgu), otrzymała ze wszech miar legalne prawo samodzielnego kwalifikowania dzieł na wystawę przeznaczonych a mających tamże zająć osobną ścianę, jako grupa artystów warszawskich.

Wobec tego wszelkie zarzuty, że „artyści sami nie wybierali z pośród siebie owej komisyi, oraz do sądzenia dzieł swoich nie upoważniali," lub że „grono artystów zajęło się sprawą reprezentacyi sztuki polskiej w turnieju międzynarodowym bez upoważnienia interesowanych" — jako wręcz niezgodne z istotnym stanem rzeczy, upadają same przez się, a z niemi i wnioski, jako wysnute z błędnych założeń.

Nie wytrzymuje również krytyki zapytanie, dlaczego nie wystawiono obrazów na widok publiczny, „aby w tym przedmiocie mogli zabrać głos artyści, inteligentna publiczność i krytycy," gdyż w całej Europie sprawy te załatwiają wyłącznie komisye fachowe. Na całym świecie uznano już oddawna zasadę, ażeby do stanowienia o sprawach zawodowych nie wprowadzać żywiołu dyletanckiego i zasady tej trzyma się ściśle cały świat artystyczny najpierwszych ognisk sztuki.

Druga serya zarzutów, w „Kilku pytaniach" zawartych, odnosi się do błędnie zakwalifikowanej wartości prac ocenianych.

Tutaj komisya oświadcza, że ma prawo i obowiązek mieć w tej sprawie własne jedynie zdanie, znacznie od przekonań zawartych w „Pytaniach" odmienne, z wyjątkiem „Poranku" Pilichowskiego, obrazu istotnie poważnego, który też dlatego tylko przy układaniu drugiej, zmniejszonej listy został pominięty, że zakwalifikowano do wystawienia większy i lepszy jeszcze jego obraz p. t. „Farbiarz."

Nadmienić tutaj również wypada, że „doskonały" według autora „Pytań" portret Krzyształowicza został już przy układaniu pierwszej obszerniejszej listy jednomyślnie odrzucony, zaś „bardzo pochlebnie" jakoby „oceniona przez samą komisyę „Modlitwa," czy też studyum Hersteina" — była zakwalifikowana jedynie jako do wystawienia możliwa.

Pozostaje Hirszenberga „Żyd wieczny tułacz," jako dobry obraz, umieszczony w pierwszej liście, z drugiej usunięty, jako obraz wielki.

Pomimo że obraz ten, skomponowany na wysokość, jest jedynym obrazem, przenoszącym wraz z ramą wysokość przeznaczonej ściany, całe ostatnie posiedzenie komisyi rozpoznawczej poświęcone było próbie, czy kosztem innych dzieł obrazu Hirszenberga ocalić się nie da. Po obliczeniu powierzchni ośmiu poświęconych na ten cel obrazów okazało się, że zyskanoby dopiero połowę potrzebnego miejsca, że zatem należałoby usunąć jeszcze blizko drugie tyle. Komisya więc uznała, że obraz Hirszenberga, jakkolwiek dobry, *nie jest przecież tak znakomitym, aby dla niego liczbę wystawców polskich zmniejszyć o połowę.*

Co się zaś tyczy obrazów przewodniczącego, to ten, chociaż posiada prawo wystawiania w Paryżu (na mocy otrzymanych tamże nagród) *hors concours*, tj. bez uprzedniej oceny, na pierwszą wiadomość o tem, że miejsce na wystawie będzie szczuplejsze, niż się spodziewano, z czterech deklarowanych przez siebie obrazów, dwa, jeden wielki, drugi spory, natychmiast z listy wykreślił, ustępując miejsca kolegom.

W końcu komisya rozpoznawcza, z powodu paru wyrażeń, a zwłaszcza wzmianki o „zawiści zawodowej," uważa za stosowne zwrócić uwagę, że tego rodzaju wycieczki, skierowane ku podaniu w wątpliwość cudzej dobrej wiary, daleko wykraczają po za granicę zarzutów przedmiotowych.

Z poważaniem

Komisya rozpoznawcza:
Wojciech Gerson, Miłosz Kotarbiński, Józef Ryszkiewicz, P. Weloński.

Odpowiedź komisyi rozpoznawczej posiada błąd, właściwy wszelkim „odprawom" słabym i broniącym złej sprawy. Zbija szeregiem argumentów i potokiem słów zarzuty drobne, stawiane mimochodem, natomiast pomija milczeniem te, na które największy położono nacisk. W danym wypadku punktem ciężkości moich „zapytań" był zarzut, że w drugiem kwalifikowaniu odrzucono [illegible] dobre, a zatrzymano dzieła malarzy takich, jak [illegible]ski, pani Gażycz, Klopfer, o których wiemy, iż robią [illegible] mierne. Tę kwestyę pominęli moi przeciwnicy milczeniem, nie broniąc ani jednem słowem swoich protegowanych, a tem samem potwierdzając całą prawdę zarzutu. Powiedziałem, że komisyi artyści z łona swego nie wybrali — i pomyliłem się tylko w połowie. Popierwsze mógłbym tu wymienić cały szereg malarzy, którzy o mających się odbyć wyborach do komisyi *zupełnie powiadomieni nie byli*; po drugie zaś — na zebraniu wyborczem prof. Gerson zakomunikował zgromadzonym rezultat swych zabiegów u władz w sprawie oddziału warszawskiego, a tem samem z góry już sam uczynił z siebie pośrednika pomiędzy artystami a komitetem wystawy. Przeciwnicy twierdzą, że podobnemi sprawami zajmują się wyłącznie fachowcy, czemu przeczą fakty: w Monachium do *jury* należą i niefachowcy, jak np. znany miłośnik sztuki, *adwokat* Stiler i in., u nas zaś organizował oddział polski na międzynarodowej wystawie berlińskiej mecenas Wrotnowski itd. Mniejsza jednak o to; pozostaje faktem niezbitym, że członkowie *jury* w danym razie *sami oceniali swoje własne dzieła i kwalifikowali je na wystawę*; to połączenie w jednej osobie ról sędziego i oskarżonego jest wypadkiem w dziejach sztuki chyba niebywałym. Twierdziłem, że niektórzy artyści, pomimo braku miejsca, posyłają po parę dzieł na wystawę, a sam przewodniczący daje dwa. Komisya każe mi być wdzięczną p. Gersonowi, że nie posyła czterech, chociaż *hors concours* miał prawo to uczynić; komisya zapomina, że gdyby każdy z jej członków *zakwalifikował* po cztery swoje płótna, nie byłoby już właściwie kogo i czego oceniać. Na wszystkie moje zarzuty co do słabej oceny dzieł i co do samowolnego traktowania *kwestyi społecznej*, jaką jest udział sztuki polskiej na turnieju międzynarodowym, komisya uznaje za stosowne z wyżyn olimpijskich odpowiedzieć, że „ma prawo i obowiązek mieć w tej sprawie własne jedynie zdanie," chyba jako grupa nieomylnych. Komisya pominęła również zupełnem milczeniem sprawę samowolnego odrzucenia rzeczy raz już przez nią wybranych, z powodu nagłego uszczuplenia miejsca, chociaż do tego chyba zupełnie upoważnioną nie była. Zdaje się, że należało przez grzeczność samą uprzednio zawiadomić interesowanych. Wreszcie — nim się komukolwiek powie, że podaje „w wątpliwość cudzą dobrą wiarę," należy przedewszystkiem uważnie czytać jego słowa. Powiedziałem wyraźnie: „grono artystów, *może ludzi dobrej woli*, lecz tylko ludzi pewnej kategoryi, pewnego określonego rodzaju zajęcia, a więc niepozbawionych właściwej każdemu stanowi zawiści zawodowej," a to chyba nie jest podawaniem w wątpliwość dobrej wiary osobników. Wypada mi tylko podziękować komisyi za tę uwagę, bo dzięki niej dowiedziałem się, że jej członkowie są to ludzie doskonali, którym wszelkie ogólno-ludzkie przywary są obce. Może właśnie dzięki temu mieli prawo nawet siebie samych oceniać.

Michał Mutermilch.

W DALI.

Łódź. Na zebraniu ogólnem stowarzyszenia nauczycieli-chrześcian odczytano sprawozdanie z działalności instytucyi za rok 1899. D. 1 stycznia r. b. liczyła ona 215 członków. Dochody wynosiły 3,524 rb., wydatki 1,818 rb. 81 kop. W ciągu roku wydano 11 pożyczek na sumę 550 rb. Istniejące przy stowarzyszeniu biuro informacyjne otrzymało ze strony publiczności w ciągu roku 145 ofert na rozmaite posady. Członkowie poszukiwali 88 posad. Otrzymało je 66. Postanowiono urządzić kursy wieczorne nauki języków nowożytnych dla członków. — Kasę przemysłowców łódzkich od 1 stycznia przekształcono na Towarzystwo wzajemnego kredytu. — Zaprowadzenia w Łodzi wodociągów podjęła się firma Dawida Grove z Berlina. — Otwarto wystawę szkoły rysunków i malarstwa prof.

Wolczaskiego, która obejmuje około 100 prac. Trzy prace uznane za najlepsze przez *jury*, nagrodzone będą listami pochwalnymi; praca zaś uznana za najlepszą przez zwiedzającą publiczność, nagrodzona będzie przedmiotem, mającym związek ze sztuką. *Jury* składają artyści-malarze pp.: Hirszenberg, Pilichowski, Pruszyński, Krzyżanowski, Modenstein, Przybylski i Jan Łuba. — Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę kasy przezorności i pomocy dla lekarzy w Łodzi. Założycielami są lekarze: Janscher i Sterling.

Moskwa. Na zjeździe farmaceutów złożono aż 40 referatów w sprawie braku pracowników aptekarskich. Ponieważ we wnioskach były bardzo małe różnice, więc odczytano tylko referaty nadesłane przez Towarzystwa farmaceutyczne, z innych zaś — wyciągi, porobione przez Towarzystwo moskiewskie. Oto są owe prace, które doznały zaszczytu wygłoszenia wobec uczestników zjazdu: kaukaskiego Towarzystwa farmaceutycznego (referent Tarasowicz), kijowskiego (Bunicki), odeskiego (Popowski), rosyjskiego (Sałtykow), charkowskiego (Wałaszko). Kaukaskie żąda polepszenia bytu farmaceutów za pomocą: 1) utworzenia inspektorów farmaceutycznych, na wzór weterynaryjnych, z pośród farmaceutów; 2) powiększenia odpowiedzialności za sprzedaż trucizn, 3) usunięcia z aptek żywiołu postronnego (praktykantów), z zastosowaniem tego do magazynów aptekarskich i fabryk wód sztucznych; 4) aptekarze przez prowadzenie jak najściślejszej buchhalteryi powinni udowodnić wysokość dochodów z aptek; 5) zebrać dane statystyczne o środkach utrzymania pracowników innych instytucyj tego samego poziomu umysłowego i porównać ze środkami utrzymanie farmaceutów; 6) magazyny aptekarskie oddać farmaceutom, dając czas t. zw. dziś „materyalistom" na dopełnienie wykształcenia i dając farmaceutom odpowiedni znak uniwersytecki; 7) zarząd aptekami sielskiemi powierzyć prowizorom; 8) znieść stołowanie w naturze i zastąpić je odpowiednią płacą; 9) wprowadzić w aptekach 7-godzinną pracę. Towarzystwo kijowskie przemawia: 1) za polepszeniem bytu pracujących wogóle; 2) uregulowaniem zajęć przez określenie roboty; 3) utworzeniem dwóch typów pracujących, jednych kończących 4 kursy uniwersytetu po zdaniu egzaminu dojrzałości i drugich — stałych podaptekarzy (4 klasy gimnazyum, 3 lata praktyki, egzamin podaptekarski). Odeskie Tow. wzajemnej pomocy przemawia w tymże duchu. Charkowskie Tow. właścicieli aptek i pracujących, stwierdzając na mocy zebranych danych statystycznych coraz mniejszą liczbę uczniów i podaptekarzy, kładzie główny nacisk: 1) na reformę wykształcenia; 2) zmiany w ustroju aptecznym stosownie do wymagań nauki; 3) ułatwianie otrzymywania pozwoleń na apteki z warunkiem, aby te, dziś w znacznej liczbie należące do niefarmaceutów, tylko farmaceutom wolno było utrzymywać. Rosyjskie Tow. wzajemnej pomocy (Moskwa) żąda: 1) uregulowania czasu pracy i ustanowienia normalnych godzin; 2) polepszenia sanitarnej strony urządzeń aptecznych, z opracowaniem postanowień obowiązkowych; 3) skrócenia praktyki aptekarskiej; 4) przekształcenia aptek stosownie do wymagań nauki, rozwoju ich działalności przez postawienie na pierwszym planie strony naukowej przy możliwem ograniczeniu handlowej. Delegatka kobiet farmaceutek, magistrantka Leśniewska z Petersburga, łączy się z dezyderatami mężczyzn. Grupa farmaceutów wileńskich wypowiedziała się za systemem, wprowadzonym w aptece Szczawińskiego w Charkowie (pracownicy zajęci są w aptece po pół dnia, co tydzień — cały). Pracownicy w Sewastopolu wnieśli projekt utworzenia sądów rozjemczych do załatwiania spraw między pracującymi a pryncypałami. Wreszcie jeden z 25 przybyłych delegatów pracowników w Petersburgu zaproponował, prócz skrócenia dnia pracy: 1) zmniejszenie ilości dyżurów nocnych; 2) odpoczynek po dyżurze; 3) unormowanie płacy prowizora, pomocnika i ucznia. Prywat-docent akademii medyczno-chirurgicznej, Ginsberg, wyjaśniał możliwość pracy 7-godzinnej. W dyskusyi nad 20 referatami magister farmacyi i doktór chemii, Blauberg, postawił wniosek polepszenia ogólnego bytu farmacyi, a następnie reformy braków częściowych, tudzież wniosek redaktora *Przeglądu farmaceutycznego*, p. Bolesława Gładycha, przeistoczenia aptek na instytucye społeczne. Na delegatów w sprawie zapobieżenia brakowi pracujących wybrano z pracowników pp.: Fochta, Kłaczkę i Steinberga (delegaci farmaceutów petersburskich), Sałtykowa (redaktora *Farmaceuticzeskiego Wiestnika*), delegata rosyjskiego Tow. wzajem. pom. pracowników i Bolesława Gładycha (redaktora *Przeglądu farmaceutycznego*), delegata pracowników warszawskich. Odczytano 13 referatów w sprawie wykształcenia ogólnego i specyalnego. Przeważają żądania reformy według dwu typów: Jedni proponują ukończenie 6 klas gimnazyalnych, 2 lata praktyki uczniowskiej i 4-letnie kursy w w specyalnie utworzonym instytucie farmaceutycznym ze znacznem rozszerzeniem zakresu nauk dziś istniejących, oraz dodaniem anatomii, fizyologii, bakteryologii, hygieny, chemii fizyologicznej i technicznej, towaroznawstwa, buchhalteryi, prawa aptecznego, historyi farmacyi, chemii itp.; drudzy żądają ukończenia całego gimnazyum, 4-letniego kursu w specyalnych instytutach lub na wydziałach farmaceutycznych, następnie dwóch lat praktyki, do której zaliczyć należy odbywaną w czasie feryj letnich. Wykształcenie wyższe ma na celu otwarcie nowych dróg pracy dla farmaceutów, jako chemików i analityków, bakteryologów, zarządzających stacyami hygieniczno-rozbiorowemi itd. Zadania oddzielnych Towarzystw i grup różnią się jedynie szczegółami i motywami. Delegatka kobiet, p. Leśniewska z Petersburga, żąda równouprawnienia kobiet co do słuchania wykładów w uniwersytecie lub otwarcia specyalnych kursów dla kobiet. Rozstrząsano obszernie sprawę przedsięwzięcia środków przeciwko pozaaptecznemu wyrabianiu lekarstw i jednomyślnie stwierdzono nadużycia składów aptecznych. Najważniejsze uchwały zjazdu dadzą się streścić w sposób następujący: Zjazd uważa za pożądane skrócenie dnia pracy w aptekach do 7—8 godzin; postanowiono przedsiębrać starania w celu podniesienia poziomu naukowego farmaceutów, mianowicie aby wymagano od nich ukończenia sześciu klas gimnazyum, dwuletniej praktyki w charakterze uczniów aptekarskich, ukończenia trzyletnich kursów farmaceutycznych w specyalnie na ten cel stworzonych instytucyach lub przy wydziale lekarskim w uniwersytecie; uchwalono wyjednać dla farmaceutów tytuł kandydata farmacyi, oraz prawo noszenia na piersiach odpowiedniego znaku i korzystania z płynących stąd przywilejów; pracę aptekarską w ziemstwach powierzyć wyłącznie skończonym farmaceutom, składy zaś apteczne prowizorom, z zabronieniem sprzedaży niektórych preparatów, a znieść je w miejscowościach, niemających 6,000 ludności; utworzyć wydział formaceutyczny przy departamencie lekarskim na wzór weterynaryjnego, oraz utworzyć posady rewizorów aptekarskich; prawa kobiet, pracujących w aptekach, zrównać z mężkiemi. — Dla upamiętnienia zjazdu p. Ferrein ustanowił coroczną nagrodę naukową w kwocie 500 rb. — Podczas zjazdu urządzono wystawę farmaceutyczną. Między innemi uwagę zwracały środki opatrunkowe sterylizowane firmy Strzelecki i Turski z Warszawy. Wzięli także udział pp. Kowolski i Iwański z Warszawy.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Tomaszowie Rawskim powstaje Towarzystwo dobroczynności. Zadaniem jego będzie: zakładanie przytułków i domów pracy, ochron, udzielania pomocy w pieniądzach i odzieży, wyszukiwanie pracy, dostarczanie narzędzi i materyałów.

— W Charkowie, według pism miejscowych, powstaje towarzystwo akcyjne pomocy lekarskiej. Na czele spółki stanęli znani w mieście lekarze. Towarzystwo utworzy własny szpital i pod miastem sanatoryum na lato. Akcye mają być 250-rublowe; akcyonaryusze i ich rodziny za tańszą opłatę będą korzystali z urządzeń przedsiębiorstwa. Mają oni pierwszeństwo przed osobami postronnemi.

Szkoły. Uniwersytet odeski w r. b. otrzyma wydział lekarski, na którego utrzymanie ministeryum wyznaczyło 69,537 rb.

— Moskiewski zjazd w sprawie wykształcenia rolniczego uznał za pożądane założenie szkoły rolniczej dla kobiet, które ukończyły kurs średnich zakładów naukowych.

— W Pszczelinie pod Brwinowem Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze otwiera kursy, celem kształcenia dzieci włościańskich na robotników praktycznych. Powstanie internat. Przyjmowane będą dzieci do 15 roku życia.

— Profesor nadzwyczajny na katedrze astronomii i geodezyi w uniwersytecie tutejszym, p. Krasnow, otrzymał nominacyę na prezesa komisyi, istniejącej przy wydziale fizyczno-matematycznym uniwersytetu warszawskiego, której zadaniem jest egzaminowanie osób, pragnących otrzymać stopień geometry i budowniczego. W charakterze egzaminatorów zatwierdzono profesorów zwyczajnych Somowa i Zinina.

Konkurs. *Biesiada literacka* odroczyła do grudnia r. 1900 konkurs artystyczny im. ks. Skargi.

Wybory. Dnia 23 b. m. w warszawskiem Towarzystwie dobroczynności odbyły się wybory. Większością głosów (234) na prezesa wybrano ks. Macieja Radziwiłła. Z innych kandydatów Jan Tadeusz ks. Lubomirski otrzymał 158 głosów, Władysław hr. Tyszkiewicz 54, Michał ks. Radziwiłł 10.

Koleje i komunikacye. Dnia 22 kolej Dąbrowska przeszła na rzecz skarbu. Wcielono ją do kolei Nadwiślańskich, których naczelnikiem ogólnym został p. Iwanow.

— Z powodu przejścia na rzecz skarbu kolei Dąbrowskiej *Now. Wr.* pisze: Długoletni pracownicy mają otrzymać wynagrodzenie. Lecz jakie i w jaki sposób? Przykłady z przeszłości nie są w tej mierze pocieszające. W r. 1898 wyznaczono na wynagrodzenie 75,000 rb. i — cóż się okazało? Część lwią zabrali dla siebie: zarządzający, który pobierał 14,000 rb. płacy i pełnił swoje obowiązki od 2 lat — 3,000 rb; naczelnicy wydziałów, pobierający po 6—8,000 rb. i urzędujący również od 2 lat — płacę dwumiesięczną; nadto naczelnikom wydziałów rada, złożona z tychże naczelników, dodała — samo przez się rozumieć należy, że „dodała" — dodatki mieszkaniowe za dwa miesiące. Wszyscy pozostali pracownicy byli pokrzywdzeni: dłużej urzędujący otrzymali płace miesięczne bez dodatków mieszkaniowych, młodsi nic nie dostali, gdyż pieniędzy już dla nich nie starczyło. Naczelnik służby, urzędujący zaledwie od 2 lat, otrzymał 1,200 rb., jego zaś współpracownik, z równem wykształceniem, urzędujący na kolei od 15 lat, dostał ogółem 100 rb. Jeżeli nowy podział wynagrodzenia za „urzędowanie długoletnie" dopełniony będzie znowu według zasady „wyznaczeń dla samego siebie," i tym razem prawie cała suma przejdzie do rąk tych, którzy urzędowali 2—3 lata, a urzędujący od lat 15—18 znowu znajdą się po za nawiasem."

— Z polecenia władzy ministeryalnej d. 13 b. m. zniesiono pobieraną dotychczas na kolejach tutejszych opłatę 2-kopiejkową na rzecz miasta od biletów pasażerskich, kupionych do Warszawy.

— Ministeryum komunikacyi wyjaśnia konieczność udzielenia 10 milionów rubli na rozpoczęcie budowy linii, łączącej kolej środkowo-azyatycką z siecią kolei europejskich. Długość proponowanej linii 2,000 wiorst, koszty budowy — 100 milionów rubli.

Przemysł i handel. Przemysłowcy amerykańscy otworzyli w Warszawie agenturę zajmującą się zakupem fuzli od okowity do celów chemicznych.

— Dnia 16 b. m. w Ciechanowie rozpoczęło działalność Towarzystwo wzajemnego kredytu.

— Według *Syna Ot.*, ministeryum skarbu wydało rozporządzenie, ażeby fabryki, zakłady i pracownie, należące do poddanych zagranicznych, utrzymywały dozorców nad robotnikami wyłącznie z pośród osób pochodzenia rosyjskiego.

Wystawy i zjazdy. Towarzystwo dobroczynności w Kielcach urządza latem wystawę artystyczno-archeologiczną.

— Zamknięty w Petersburgu pierwszy zjazd elektrotechników uchwalił: 1) utworzenie komitetu stałego z 12 osób dla urządzania zjazdów ogólnopaństwowych w zakresie elektrotechniki, opracowania przez komitet ustawy zjazdów stałych i wy-

jednanie jej zatwierdzenia; 2) urządzenie następnego zjazdu za 2 lata. Odbędzie się on r. 1901 w Moskwie jednocześnie ze zjazdem przyrodników i lekarzy.

— W czerwcu r. b. odbędzie się w Warszawie mała tygodniowa wystawa koni.

— Począwszy od roku przyszłego na placu Ujeżdżalni w Warszawie odbywać się będą wystawy inwentarza z działami pozakonkursowymi maszyn i narzędzi rolniczych tudzież zbóż i nasion w szerokim zakresie. W tym celu wzniesione będą zabudowania stałe na 25 lat.

— Zarząd rosyjskiego oddziału na wystawie wszechświatowej w Paryżu, mieszczący się, jak dotychczas, w Petersburgu, a pośredniczący w stosunkach między wystawcami i Paryżem, oświadczył w okólniku, iż najpóźniej do dnia 10 marca (n. st.) przedmioty przeznaczone na wystawę powinny być już na miejscu w Paryżu.

— P. minister skarbu stara się o uzyskanie prawa zwoływania w Petersburgu zjazdów przedstawicieli zakładów i przedsiębiorstw górniczych, metalurgicznych, mechanicznych i fabryk budowy wagonów i maszyn. Dla zjazdów tych ma być opracowana ustawa porządkowa. Do udziału zaś będą zapraszani przedstawiciele zarówno przemysłu prywatnego, jak zakładów rządowych, tudzież przedstawiciele rozmaitych ministeryów. Przewodniczącego będzie wyznaczał p. minister, który też wspólnie z ministeryum rolnictwa zatwierdzać będzie programy zjazdów.

Zmarli. Sylwester Wendland, w Poznaniu, lekarz i polityk, zmarł z zakażenia krwi. Brał bardzo czynny i pożyteczny udział w życiu społecznem.

— Dr. Napoleon Kostaniecki, w Krakowie, asystent dr. O. Bujwida.

— Ryszard Blackmore, w Londynie, powieściopisarz angielski.

— W. N. Ligin, w Hyères, kurator okręgu naukowego warszawskiego.

Odpowiedzi Redakcyi

Ramzesowi. Utwór ten opuszczony został w wykazie pierwszej grupy drugiej kategoryi.

OFIARY

Na wpis dla studentów: S. Zaleski z Włodzimierza Wołyńskiego 10 rb.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Января 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.